



*Jennifer Greene*



*Księżycowa  
sonata*

---

Tytuł oryginału Wild, in the Moonlight



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Właśnie w chwili gdy Violet Campbell dokuśtykała do kuchni, usłyszała, że ktoś dzwoni do frontowych drzwi.

Zwyczajnie go zignorowała. Prawdę mówiąc, nie miała wielkiego wyboru. Krzywiąc się z bólu, ze łzami płynącymi z oczu, doskakała do zlewu na jednej nodze. Po paru godzinach spędzonych w ostrym vermonckim słońcu kuchnia wydawała się jej ciemna niczym grób.

Ktoś nacisnął dzwonek po raz drugi.

- Słuchaj no! - wrzasnęła Violet niecierpliwie. - Nie mogę podejść do drzwi, bo właśnie umieram, więc okaż trochę cierpliwości!

W White Hills wszyscy ją znali i gdyby czegoś potrzebowali, nie czekali na oficjalne zaproszenie - bez względu na porę dnia lub nocy.

Ostrożnie siadła na blacie z czerwonych płytek, zsunęła sandał i bardzo delikatnie włożyła stopę do zlewu, podwijając spódnicę. Odkąd otworzyła „Ziołową Oazę”, chętnie nosiła staroświeckie stroje - przez co, zdaniem jej starszej siostry, wyglądała, jakby zamawiała ubrania w katalogu dla Cyganów. Pusty kubek po kawie gruchnął o podłogę, łyżeczka potoczyła się z brzękiem. Któryś z kotów - Zaraza? Licho? - uznał, że jego pani przyszła do kuchni jedynie po to, by go pogłaskać.

Violet rzeczywiście pogładziła kota, lecz potem stanowczo go odsunęła. Musi natychmiast umyć stopę, a potem wyciągnąć żądło.

Była święcie przekonana, że nadal tkwi w ranie. Tylko to mogło tłumaczyć ostry, dotkliwy ból. Prawdę mówiąc, istniało jeszcze jedno wyjaśnienie. Przyjaciele i rodzina nie mieli pojęcia, jak wielkim stała się tchórzem. Przed trzema laty odkryła jedną jedyną fantastyczną korzyść płynącą z bycia samotną rozwódką: mogła się nad sobą roztkliwiać, kiedy tylko jej przyszła ochota.

A teraz z całą pewnością miała na to wielką ochotę. Odkręciła kran i omal nie zemdląła, kiedy letnia woda spłynęła jej po skórze.

Chyba trochę przesadza, ale co tam. To takie niesprawiedliwe: wygląda, jakby wszystko wokół rozmnażało się radośnie i bujnie: rośliny, koty, skarpetki w suszarce. Wyglądało, jakby nawet kulki kurzu pod łóżkiem mnożyły się, ledwie wyłączała światło.

Wszyscy wokół na okrągło uprawiali seks i mieli dzieci. Dotyczyło to również pszczoł. Ostatnio na każdym kroku natykała się na nowy rój. Istniała niejaka możliwość, że dwadzieścia akrów rozkwitającej właśnie lawendy skusiło parę dodatkowych sztuk. Ale przecież wcale nie zbliżała się do lawendy. Poza tym jej własne pszczoły były milutki. Lubili ją, a ona lubiła je.

Bydle, które ją użądliło, najwyraźniej nie czuło do niej sympatii. Czy trutnie przypadkiem nie giną po użądleniu? Miała nadzieję, że tak, i że śmierć tego, który ją zaatakował, była długa i bolesna.

Dzwonek odezwał się znowu.

- Do jasnej Anielki, zostawisz wreszcie w spokoju ten dzwonek? Nie mogę otworzyć, więc albo wejdz do środka, albo się wynoś!

Dzielnie zagryzła wargi i przemyła ranę mydłem antybakteryjnym, a potem znowu wsunęła stopę pod strumień wody.

W szafce za swoimi plecami trzymała pudełko pełne leków, lecz kiedy próbowała po nie sięgnąć, ból odezwał się znowu. Na skraju zlewu znajdowały się już dwa koty. Oba wiedziały doskonale, że nie wolno im chodzić po szafkach. Siedziały nieruchomo, przyglądając się jej nieudolnym wysiłkom. Skraj spódnicy mókł coraz bardziej, na czole wystąpiły krople potu i co najgorsze, obłuszczył się jej lakier na środkowym palcu u nogi. Nienawidziła tego.

- Allo?

Poderwała głowę niczym królik, który zwęszył na swoim terytorium jaguara. W jej kuchni jaguary nie miały czego szukać. Po rozwodzie wprowadziła się do tego domu przede wszystkim dlatego, że był wolny - mama z tatą właśnie przenieśli się na Florydę, pozostawiając starą siedzibę w Vermont pustą. Jednak gdy tylko Simpson wyniósł się ze swoją płodną jak królicza lalunią, natychmiast stworzyła tu sobie bezpieczne gniazdko. Staroświeckie szafki pełne były ozdobnego szkła, przy kominku stał wyplatany bujany fotel i zabytkowa kanapka obita różowym pluszem - zajęte obecnie przez kolejne koty. W oknach wychodzących na ogromny klon na podwórzu wisiały zasłonki z czerwono-białego kretonu. Na każdej powierzchni tłoczyły się kwiaty w doniczkach, okrągły stółk zdobilo haftowane serce.

Wszystko w porządku... tyle tylko, że w tym momencie usłyszała zbliżające się korytarzem ciężkie, pośpieszne kroki.

Właściwie nie obawiała się nieznanomych. W White Hills nikt długo nie pozostawał obcy, a seryjni zabójcy zwykle nie pytają, czy można wejść. Nie rozumiała tylko, czemu ktoś mówi „allo” zamiast

„cześć”. I ten głos, dziwnie... korzenny? Trochę zbyt seksowny i egzotyczny jak na senne vermonckie popołudnie. Poczwała, że miękną jej kolana.

Z drugiej strony, wiedziała, że ma skłonności do dramatyzowania, więc nie do końca ufała własnemu instynktowi. Zresztą akurat w tej chwili nie miała cierpliwości do dalszych komplikacji. Nie podnosząc nawet wzroku, burknęła: - Cholera, mało nie umarłam ze strachu. Bez względu na to, kim jesteś, czy mógłbyś sięgnąć do tej szafki za moimi plecami? Potrzebuję pęsety, kremu do dezynfekcji i tego paskudztwa na ukąszenia. I buteleczki z tym czymś fioletowym, czym się maluje rany, no wiesz. Albo wody utlenionej. Do licha, podaj mi po prostu całe pudełko.

Nieznajomy przerwał jej tym swoim spokojnym, niebezpiecznym głosem:

- Przede wszystkim, gdzie się skaleczyłaś?

Jakby miała czas na pogaduszki.

- Nie skaleczyłam się. Konam z bólu. Zawsze sobie powtarzam, żeby zrobić zapas narkotyków i środków przeciwbólowych, tylko, cholera, nikt mi ich nie chce przepisać. Nie masz przypadkiem morfiny?

- Eee, nie.

- Pewnie uważasz, że to idiotyczne zwracać się w taki sposób do obcego. Ale jeśli zamierzasz mnie okraść, to proszę bardzo, czuj się jak u siebie w domu. Tylko mi podaj to pudełko, dobrze?

Umilkli oboje. Wyobrażać sobie, że wcale się nie boisz obcych, to jedno, a zupełnie co innego oglądać obcego między swoimi nogami, i to zanim zostaliście sobie przedstawieni. Przełknęła ślinę.

Z bliska nieznajomy wyglądał tak, że każdej kobiecie podskoczyłby poziom estrogenów. Wysoki i smukły, o imponująco szerokich ramionach i mięśniach ramion wyglądających, jakby je wyrzeźbiono z hikorowego drewna. Włosy ciemnoblond, nieporządne i dość długie, jakby spędzał wiele czasu na otwartej przestrzeni. Twarzy nie widziała wyraźnie - zauważyła jedynie wydatny nos i ciemną opaleniznę. Praktyczna koszula khaki, płócienne spodnie i solidne buty zniszczone od pracy. Choć nie był bardzo masywny, wyglądał na dość silnego, by zarabiać na życie rozwalaniem ścian.

Kiedy wreszcie spojrział jej w twarz, zobaczyła jasnoblękitne oczy i wąskie wargi, jakby zdecydowane się nie uśmiechać.

- Tyle krzyku z powodu byle użądlenia? - spytał.

- Hej, to nie żadne byle użądlenie. Nie widziałeś tej pszczoły. Była wielka jak krowa, a właściwie to większa od słonia. I...

- Jesteś uczulona na jad?

- Nie. Coś ty, skąd. Jestem zdrowa jak koń. Ale mówię ci, to było wielkie bydle, i żądło zostało w ranie.

- Widzę.

Znowu podniósł głowę i poczuła na swojej twarzy rozbawione spojrzenie. Tym razem przyjrzała mu się uważniej. Jasne włosy okalały pociągłą twarz, która mogłaby wyjść spod dłuta jakiegoś francuskiego rzeźbiarza. Gdyby właśnie nie umierała z bólu, przeszedłby ją dreszcz. I nawet mimo bólu była święcie przekonana,

że taki egzemplarz nie kręciłby się normalnie po White Hills... ani żadnym innym prowincjonalnym miasteczku.

- Dla ścisłości - odezwała się - zabłądziłeś.

- Tak sądzisz?

Wyjął z szafki pudełko z lekarstwami, z którego wysypywały się niemal rozmaite ziołowe, naturalne i tradycyjne leki, których zapas udało się jej zgromadzić przez ostatnie trzy lata. Najpierw znalazł pęsetę.

Violet zaniepokoił sposób, w jaki trzymał narzędzie. A może coś innego? W każdym razie poważnie się zdenerwowała.

- Zabłądziłeś - powtórzyła. - Nazywam się Violet Campbell i jestem właścicielką „Ziołowej Oazy”, tych budynków i szklarni po drugiej stronie podwórza. To mój dom. Powiedz, kogo szukasz, a chętnie ci... auuuu!

Podniósł pęsetę, żeby pokazać swoją zdobycz.

- Wygląda na żądło zwyczajnej pszczoły.

Violet zmarszczyła czoło. Kolejną korzyścią płynącą z bycia rozwódką - oprócz faktu, że pozbyła się tamtego łajdaka ze swojego życia - było to, że nie musiała znosić głupich męskich dowcipów.

- Kogo szukasz? - powtórzyła.

- Ciebie.

Odkręcił buteleczkę z wodą utlenioną i zręcznie przemył ranę. W normalnych warunkach Violet wrzasnęłaby na całe gardło, lecz nieznajomy wypowiedział słowo „ciebie” z takim seksownym, egzotycznym akcentem, że zdołała jedynie sapnąć.

- Widzisz, nie było tak źle. Teraz pewnie będziesz chciała zrobić sobie okład z lodu i...

- Nie możesz mnie szukać - przerwała.

I znowu zmarszczyła brwi. Zwykle lubiła towarzystwo, zamieszanie, a nawet sporą dawkę chaosu w swoim życiu. Lecz w towarzystwie niektórych mężczyzn nie czuła się dobrze. Ten zdecydowanie do nich należał. Czuła się przy nim naga - dość zabawne, biorąc pod uwagę, że miała na sobie strój niemal z ubiegłego stulecia. Celowo nie nosiła ubrań przyciągających mężczyzn. Tak chciała. Lubiła mężczyzn od zawsze, lecz sparzyła się i miała ich dość na jakiś czas. A może na całe życie. Normalni mężczyźni na widok jej strojów natychmiast dochodzili do wniosku, że jest trochę stuknięta, i trzymali się z dala. Bóg jeden wie, co było nie tak z tym nieznajomym. Z pewnością zauważył długą do ziemi spódnicę i staroświecką bluzkę, lecz nadal patrzył na nią wzrokiem, jakim łakomczuch spogląda na bezę.

Mężczyzna zniecka zaczął przetrząsać pudełko, aż wyciągnął z niego maść przeciw ukąszeniom. I jak gdyby znajdowali się w samym środku uprzejmej konwersacji, oświadczył:

- Spodziewałaś się mojego przybycia.

- Wcale nie, możesz mi wierzyć.

- Zostanę tu parę tygodni.

Syknęła, kiedy maść zapiekła. Mimo to odparła przytomnie:

- Oczywiście, że tu nie zostaniesz. Nawet cię nie znam. Ale już dochodzę do wniosku, że zachowujesz się jak wariat...



Prawdę mówiąc, wcale nie obawiała się wariatów. Sama uważała za powód do dumy, że niekiedy zachowuje się jak obłąkana. Ale stanowczo nie była w nastroju, żeby sobie fundować emocjonalną huśtawkę z nieznanym - nawet jeśli był przystojny i seksowny.

Mężczyzna zgarnął medykamenty do pudełka, po czym ruszył w stronę zamrażarki po lód.

- Nazywam się Cameron Lachlan.

- Śliczne nazwisko.

Uśmiechnął się, poszukał woreczka do lodu i go nappełnił.

- Z pewnością doszło do nieporozumienia. Masz siostrę, która się nazywa Daisy Cameron, prawda?

Nagle żołądek skurczył się jej boleśnie.

- Tak, mam. Ściśle rzecz biorąc, mam dwie siostry...

- Ale to Daisy mieszka we Francji.

- Tak, już od paru lat i...

- No więc twoja siostra obiecała wystąpić w roli pośrednika. Tak zrozumiałem. Ponieważ mnie zna i wie, czym się zajmuję, więc nie jestem dla ciebie zupełnie obcy. Miałaś mnie oczekiwać. I miałaś wiedzieć, że przyjadę dzisiaj lub jutro.

- O Boże! Ty jesteś Cameron Lachlan?

Podrapał się w brodę.

- Przysięgłbym, że o tym wspominałem.

Nagle zakręciło się jej w głowie, żołądek ścisnął się jeszcze bardziej, oczy przesłoniła zielonkawa mgła.

Prawda, była mazgajem i tchórzem - ale zwykle miała strusi żołądek. Teraz jednak, kiedy zsunęła się z szafki i stanęła o własnych siłach, nagle zrobiło się jej niedobrze.

- Nie traktuj tego osobiście, dobrze? - poprosiła. - Cieszę się, że cię widzę, ale na moment muszę wyjść.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy tylko Violet zniknęła mu z oczu - jak się zdaje, by znaleźć najbliższą łazienkę - Cameron oparł się o blat kuchennego stołu i przeczesał palcami włosy. To się nazywa wpadka. Co powinien teraz zrobić, do cholery?

Zwykle nic nie było w stanie go poruszyć. Normalni ludzie zdobywali wyższe wykształcenie, żeby więcej zarabiać. On zrobił doktorat po to, by wieść swobodne, wędrownie życie. Przywykł do długich lotów samolotem. Nie miał kłopotów z ludźmi wychowanymi w innej kulturze czy środowisku.

Tymczasem w towarzystwie tej blondynki z jego pulsem działało się coś dziwnego.

- Uważaj na moją siostrę - ostrzegła Daisy, co wtedy go zdziwiło.

Violet interesowała Camerona jedynie ze względów zawodowych. Mimo to Daisy opowiedziała mu o siostrze wystarczająco dużo, by zrozumiał, czemu tak bardzo się o nią niepokoi. Violet, jak się zdaje, wyszła za wyjątkowego łajdaka.

- W ostatnim roku małżeństwa coś się wydarzyło, coś bardzo złego. Do tej pory nie mogę z niej wydobyć, o co poszło - opowiadała Daisy. - Widzisz, Violet zawsze była strasznie zdolna, w szkole i w życiu, i tak dalej. Od rozvodu stała się... jakaś dziwna. Drażliwa i nerwowa w obecności mężczyzn.

Wtedy nie przywiązywał do tej rozmowy znaczenia i prawie o niej zapomniał. Tyle tylko, że wyobraził sobie Violet Cameron jako nieśmiałą, cichą kobietę. Teraz zastanawiał się, czy na pewno trafił we właściwe miejsce, bowiem opis Daisy nijak się miał do rzeczywistości. Violet była równie nieśmiała jak tablica reklamowa, równie nerwowa jak lwica, a co do jej inteligencji... no cóż, być może coś się kryło pod tymi pokładami roztrzepania.

Usłyszał, jak drzwi się otwierają, i mimo woli napiął mięśnie. Chwilę później Violet weszła do kuchni. Drgnęła na jego widok.

Zawsze miał powodzenie u kobiet, więc widok Violet, wybiegającej przez niego do łazienki, stanowił potężny cios dla jego dumy. Nie spodziewał się jednak, że w zaawansowanym wieku lat trzydziestu siedmiu sam poczuje w obecności kobiety równie wielkie wzburzenie.

Stary vermoncki dom wydawał się solidny i poważny; od pierwszej chwili budził zaufanie. W przeciwieństwie do właścicielki. Kiedy tak stała, ze światłem padającym zza jej pleców, wydawała się wróżką z baśni. Pierwszym, co zauważał każdy normalny mężczyzna, były naturalnie włosy. Jasnoblond, nawet przewiązane jedwabną chustką opadały jej do połowy pleców. Co oznaczało, że rozpuszczone sięgałyby pośladków. Twarz w kształcie serca, orzechowe oczy, muśnięte słońcem policzki i nos usiany garścią piegów.

Właściwie nie była ładna, miała jedynie to coś, kwintesencję kobiecości. Tego typu kobietę niełatwo zdobyć - jeszcze trudniej zrozumieć. Nie miała w sobie nic ostentacyjnego ani seksownego,

lecz była zmysłowa, począwszy od tych bładozłotych włosów, poprzez delikatne usta, po krągłe piersi.

Nosiła strój jakby z ubiegłej epoki: długą, barwną spódnicę, bluzkę z niewielkim dekoltem, kryształowe klipsy opadające niemal do ramion. Nie miał w sobie nic prowokującego, jeśli już, wydawał się zbyt ciężki jak na trzydziestostopniowy upał.

I pachniała. Mężczyzna nie powinien zwracać uwagi na takie rzeczy, lecz Cameron zajmował się zapachami profesjonalnie - i z niezłym skutkiem finansowym. Nie używała tradycyjnych perfum, lecz wokół jej nadgarstków i szyi unosił się aromat świeżych kwiatów, bzu albo konwalii.

Skupił się na zapachach, co pozwoliło mu zapomnieć o wściekle pomarańczowych figach, które również zauważył. Zwykle mijało nieco więcej czasu, zanim dowiadywał się o takich szczegółach jak kolor bielizny, lecz kiedy zobaczył Violet po raz pierwszy, siedziała nad zlewem z podwiniętą spódnicą.

Cholera. Wcale nie chciał jej zaskakiwać, ale trudno, żeby czekał spokojnie na ganku, kiedy kobieta woła, że umiera.

Zmarszczyła brwi.

- Zdaje się, że znaleźliśmy się w głupiej sytuacji - stwierdziła.

Niezupełnie tak by to określił, ale nie protestował.

- Z żołądkiem już wszystko dobrze?

Chciał od razu przejść do najważniejszej sprawy, lecz ponieważ oświadczyła otwarcie, że jest płaksą i ma zajęcze serce, postanowił działać ostrożnie. Nie chciał, żeby mu zemdląca.

- Mniejsza o mój żołądek. Musimy coś zdecydować w sprawie twojego pobytu tutaj i tego, co z tobą zrobimy.

- Mhm. Chcesz coś do picia?

- Tak, chętnie.

Rozsiadła się przy stole, najwyraźniej zakładając, że mężczyzna sam znajdzie szklanki i napoje. Nie pomyliła się. Chociaż zwykle nie grzebał po szafkach w obcych domach.

Przebywając z nią w jednym pomieszczeniu, czuł się ze wszystkich stron atakowany przez kobiecość. Nie chodziło tylko o nią, lecz o wszystko wokół. Na każdej wolnej powierzchni siedział kot: jeden na lodówce, drągi na blacie, trzeci - czarny w białe łaty - najwyraźniej postanowił mu się owinać wokół nóg. Na ścianach pełno było najrozmaitszych ozdób: wieńców, tabliczek z sentencjami, miedzianych rondli i tak dalej. W takim miejscu można sączyć wino, lecz Boże uchroni wypić porządne piwo.

Lodówka była wypchana taką ilością jedzenia, że ślinka napłynęła mu do ust.

- Chyba powinniśmy zacząć jeszcze raz od początku - zasugerował. - Skoro kojarzysz moje nazwisko, powinnaś też pamiętać, że jestem agrochemikiem z Jeunesse?

Violet skinęła głową, słysząc nazwę francuskiej firmy kosmetycznej, więc Cameron nareszcie zyskał potwierdzenie, że kobieta utrzymuje jakiś kontakt z rzeczywistością. Tylko nie wiadomo czemu wydawała się teraz jeszcze bardziej przerażona.

- Nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę wiedziałam, że pan przyjedzie, panie Lachlan.

- Cameron. Albo Cam.

- Więc Cameron. Masz świętą rację. Siostra pisała mi o tobie kilka razy. - Wzięła od niego szklanekę z lemoniadą. - Tylko z powodu nawału zajęć o wszystkim zapomniałam.

- Masz dwadzieścia akrów lawendy prawie gotowych do zbioru, tak?

- Eee, tak.

Cameron upił długi łyk lemoniady. Wydawało mu się, że w normalnych okolicznościach dość trudno zapomnieć o tego rodzaju fakcie.

- Rzekomo byłem ci potrzebny - dodał taktownie.

- To prawda, po prostu o tym zapomniałam. - Uniosła rękę. - To znaczy, nie zapomniałam. Miałam straszne urwanie głowy. Moja młodsza siostra, Camille, wyszła za mąż parę tygodni temu. Całą wiosnę pracowała ze mną na plantacji. Wyjechała na miesiąc miodowy, ale potem wróciła po dzieci. To znaczy, nie jej dzieci. Jej nowy mąż ma z pierwszego małżeństwa parę bliźniaków. A ponieważ Camille traktuje chłopców jak własnych, chyba mogę ich nazywać jej synami, nie sądzisz?

Cameron odetchnął głęboko. Wiadomość, choć niezwykle interesująca, była kompletnie nie na temat.

- Lawenda - podsunął łagodnie.

- Właśnie próbuję ci to wyjaśnić. Otworzyłam „Ziołową Oazę” trzy lata temu, jak się tu wprowadziłam, i wszystko szło całkiem nieźle, ale naprawdę wypaliło dopiero tej wiosny. Uwijałam się jak w ukropie, najełam pomocników, ale i tak się nie wyrabiam. A potem

Camille poprosiła, żebym się zajęła jej zwierzakami... to znaczy, spędzili parę dni tylko we dwoje, ale potem zaprosiła dzieciaki i ojca jej męża, uwierzysz? No i jeszcze ta stara farma, którą próbuję utrzymać. I szklarnie. I Daisy... no, cóż, znasz moją siostrę, więc wiesz, że najwyraźniej jest spokrewniona z lokomotywą.

Nareszcie powiedziała coś do rzeczy. Cameron znał Daisy tylko na płaszczyźnie zawodowej, lecz był przekonany, że najstarsza siostra Campbell bez większego wysiłku potrafiłaby rządzić połową świata.

- W każdym razie Daisy czasem papie bez opamiętania.

- Daisy papie bez opamiętania? - zdziwił się Cameron. W jego opinii Daisy, jeśli chodzi o umiejętność mówienia rozwlekłe i bez przerwy, nie umywała się do młodszej siostrzyczki.

Violet skinęła głową.

- Więc czasem niezbyt uważnie jej słucham. Zawsze ma tysiąc pomysłów i poucza Camille i mnie. Dawno temu dałyśmy sobie spokój z awanturami. Jak się ma do czynienia z takim upartym osłem, najlepiej po prostu zostawić go w spokoju i niech sobie robi, co chce. Nie żebym tu gdzieś miała osła.

- Lawenda - powtórzył Cameron, tym razem bardziej stanowczo.

- Próbuję tylko wyjaśnić, czemu nie pamiętałam dokładnego terminu twojego przyjazdu. - Zawahała się. - I chyba zapomniałam też, co dokładnie zamierzasz zrobić.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ktoś zastukał do drzwi. Violet natychmiast zerwała się z miejsca i pokuśtykała otworzyć. Wróciła z naręczem poczty.



- To był Frank, listonosz. Zwykle zostawia listy w skrzynce, ale o tej porze roku przychodzi ich taka masa, że...

Większej liczby informacji nie był zdolny przyswoić. Zanim jednak zdążył kolejny raz przypomnieć o lawendzie, odezwał się telefon. Ściśle rzecz biorąc, pół tuzina telefonów. Musiała ich mieć sporo, bo Cameron słyszał echo niosące się przez cały korytarz.

Odebrała w kuchni - dzięki czemu mogła równocześnie głaskać dwa koty. Najwyraźniej prowadziła hodowlę; nie zauważył wcześniej tych długowłosych okazów w kolorze karmelu. Rozmówczyni miała na imię Mabel i jak się zdaje, uważała, że Violet zna jakiś ziołowy specyfik na uderzenia gorąca.

Zajęło to trochę czasu. Cameron skończył jedną szklanekę lemoniady i nalał sobie następną, a przy okazji usłyszał o menopauzie więcej, niż chciał wiedzieć przez całe życie - i więcej niż sądził, że może o tym wiedzieć kobieta w wieku Violet. Ile miała lat? Trzydzieści? Trzydzieści jeden? I co to jest, na Boga, żeński korzeń i olej konopny?

Właśnie kiedy odłożyła słuchawkę i obróciła się w jego stronę, przekłęty telefon zadzwonił znowu. Tym razem rozmówca miał na imię Bartholomew. Chociaż rozmowa brzmiała raczej jak kłótnia, Violet nie wyglądała na zirytowaną; w trakcie przejrzała pocztę, poklepała kolejnego kota i włożyła naczynia do zmywarki. Nie mogła być taka znowu roztrzepana, skoro potrafiła robić kilka rzeczy jednocześnie, prawda? Potem odłożyła słuchawkę i znowu zaczęła mówić.

- Widzisz? - spytała, jakby to było coś oczywistego. - Dlatego właśnie nie możesz tu zostać. Bartholomew Radcliffe remontuje dach chaty. To tam miałaś zamieszkać po przyjeździe w lipcu.

- Właśnie jest lipiec - zaprotestował.

Machnęła ręką, jakby nie miało to większego znaczenia. Dla Violet Campbell pewne rzeczy najwyraźniej były nieistotne: daty, fakty, umowy i zapewne wszystko, co się odnosi do racjonalnej rzeczywistości.

- O to właśnie chodzi. Dach miał być już gotowy. Chata jest niewielka. Ile może trwać pokrycie jej na nowo? Bartholomew obiecał, że zajmie to najwyżej dwa tygodnie, i zaczął jeszcze na początku czerwca. Tylko że ja nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z dekarzami.

- A czemu to takie ważne?

- Bo nie wiedziałam, jak z nimi jest. Dzisiaj nie przyszedł, bo rzekomo idzie deszcz. - Wskazała bezchmurne niebo. - W piątki nie przychodzi, bo to podobno nie jest dzień roboczy. A w dni, kiedy ryby dobrze biorą, wychodzi wcześniej. Widzisz?

Widział tylko tyle, że Violet Campbell jest zmysłową, seksowną, fascynującą kobietą o pięknych oczach, jedwabistych blond włosach i piersiach, z którymi bardzo chętnie zawarłby bliższą znajomość.

Jedynym problemem zdawało się to, że miała siano w głowie.

Prawdopodobnie gdyby złożyła podanie do domu wariatów, trudno byłoby stwierdzić, czy szuka miejsca jako pacjentka, czy pracownica.

- Widzę, że nie masz najmniejszej ochoty rozmawiać o lawendzie.

Powinien był się zorientować, że Violet nie da się skłonić, zachęcić ani przekupić, by mówiła na temat.

- Ależ chcę. W zasadzie. To znaczy, pomyślałam, że kiedy i jeśli przyjedziesz, zamieszkas w chacie. Jest miła, wygodna i zapewnia prywatność. Ale teraz wygląda okropnie, bo zdjęli dach i kładą nowy. Więc wszędzie jest pełno pyłu i gwoździ. I smoły, gorącej i cuchnącej. Po prostu nie da się tam mieszkać. Będzie... prawdę mówiąc, jestem pewna, że to potrwa niewiele dłużej niż tydzień.

- Jeśli ryby nie będą brały, naturalnie.

- No, właśnie.

- Rozumiem cię doskonale, chere, ale byłoby mi trochę trudno wracać do Francji i czekać, aż Bartholomew upora się z robotą. I w dodatku muszę być na miejscu, kiedy lawenda rozkwitnie.

- To prawda, ale nie mam z tobą co zrobić, póki remont się nie skończy.

Może to przez zmęczenie długim lotem, a może w podeszłym wieku trzydziestu siedmiu lat nie był już tym niedbałym, wolnym włóczęgą co kiedyś. Może zarwane noce i twarde łóżka dały mu nareszcie w kość... ale wydało mu się oczywiste, że Violet nie może być aż tak roztrzępana. Z jakiegoś powodu obawiała się jego towarzystwa. Nie miał pojęcia dlaczego, skoro zaakceptowała go jej starsza siostra.

Nie - przegnał tę myśl, gdy tylko się pojawiła. Nie wszystkie kobiety go lubiły, ale umiał się dogadać z większością z nich. A te, z którymi utrzymywał intymne kontakty, obawiały się co najwyżej, że ulotni się rankiem bez pożegnania.

Wolno odstawił więc szklanę i nachylił się do przodu, patrząc jej w oczy. Nie po to, by ją uwieść, lecz by zachęcić do szczerości.

- Violet... - zaczął wolno i spokojnie.

- Co?

- Daj spokój z tymi bzdurami.

- Jakimi bzdurami?

- Znalezienie dla mnie kąta do spania to nie problem. Mogę nocować na zewnątrz. Właściwie nawet to lubię. A jeśli zacnie padać, przeniosę się do hotelu w miasteczku. Więc dlaczego naprawdę mnie tutaj nie chcesz?

- Wielkie nieba, oczywiście, że...

Znowu powtórzył wolno i wyraźnie:

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli moje testy wypadną dobrze, zarobisz tysiące dolarów? A może setki tysięcy?

Na moment zacisnęła powieki, a kiedy znowu otworzyła oczy, wyczytał w nich prawdziwe przerażenie.

- O Boże - szepnęła. - Chyba znowu zwymiotuję.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Nic podobnego - odparł z naciskiem. Spojrzała mu w oczy.
- Masz rację. Nie zwymiotuję - odparła i wzięła głęboki oddech.

Musi się wziąć w garść. Właściwie nie miała mdłości, czuła się tylko roztrzęsiona. Noga okropnie ją bolała w miejscu użądlenia - to było rzeczywiste. Cały dzień pracowała na słońcu - to też było rzeczywiste. Zwykle nie zachowywała się w obecności mężczyzn jak roztrzępana wariatka - istniały jednak wyjątki. Męskie typy o szelmowskim spojrzeniu i długich, smukłych kończynach stanowiły wyjątek.

Odetchnęła głęboko jeszcze raz. Większość blondynek nie znosiła dowcipów o blondynkach, ona jednak należała do wyjątków. Wiedziała doskonale, jak na nią reaguje większość mężczyzn. Gość, któremu się wydawało, że ma do czynienia z rozkojarzoną, bezmyślną blondyną, wiał zwykle gdzie pieprz rośnie, albo przynajmniej trzymał się na dystans - i Violet bardzo to odpowiadało.

Czasem tylko trudno było utrzymać maskę blond idiotki. Chociażby dlatego, że niekiedy naprawdę czuła się rozmyślna i bezkojarzona... to znaczy, rozkojarzona i bezmyślna. To znaczy... och, mniejsza.

Facet miał oczy błękitne jak jezioro. Znacznie lepiej radziła sobie ze starymi i brzydkimi. A już najlepiej z dziećmi. Nie żeby teraz w czymś jej to mogło pomóc.

Poczuła jednak, że dochodzi do siebie. Głębokie oddechy rzeczywiście pomagały.

- Mam pomysł - zwróciła się do Camerona. - Jechałeś kawał drogi. Musisz być głodny i zmęczony, a ja mam popołudnie a la koniec świata. Chciałbyś może... odpocząć przez jakąś godzinę? Czuj się jak u siebie. Obejrzyj gospodarstwo albo się prześpij. Ja muszę iść do sklepu, powiedzieć pracownikom, co robić, załatwić parę spraw i tak dalej.

- Może ci w czymś pomóc?

- Nie trzeba, naprawdę. Potrzebuję godziny, żeby zapanować nad tym wszystkim... a potem zjemy kolację. Nie gwarantuję, że ci to przejdzie przez gardło, ale z pewnością będziemy wtedy mogli spokojnie pogadać...

- Brzmi doskonale. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać.

- To nie zajmie długo.

Poszło doskonale. Nie mogła się skoncentrować, mając na głowie tyle spraw czekających na załatwienie i na dodatek pętającego się pod nogami niemożliwie przystojnego faceta. Pół godziny później, nucąc półgłosem, była znowu w kuchni. Stała z nogą wspartą na stołeczku, ściskając w dłoni tasak, który wzbudziłby zawiść seryjnego mordercy.

Spojrzała przez ramię na gościa. Trudno powiedzieć, kiedy Cameron postanowił przysiąść chwilę na kanapie, lecz okazało się to jego zgubą. Spał jak kamień. Głowę wtulił w różową poduszkę, jedną nogę przewiesił przez poręcz. Był naprawdę długi. Jeden z kotów -

Szekspir albo Dickens - siedział na oparciu, pilnując, by nikt mu nie przeszkodził w drzemce.

Zabrała się z powrotem do siekania. Gotowanie stanowiło jedną z jej ulubionych rozrywek - i tajemnicę, bo stanowczo sobie nie życzyła, by ktoś wpadł na przerażający pomysł, że lubi domowe zajęcia i jest praktyczna. Dzisiaj nie miała szans na wykazanie się wielką kreatywnością, bo należało wykorzystać resztki z poprzedniego dnia..

Nadal było zbyt gorąco na coś solidniejszego, więc główne danie stanowiła bruschetta z grillowanymi krewetkami. Pokroiła papryczki chili, posiekała palczatkę i czosnek, startła imbir, po czym wymieszała to wszystko z ciepłym miodem i oliwą z oliwek.

Pewnie nie będzie chciał tego tknąć, pomyślała. Mężczyźni zwykle nie znosili wymyślnych potraw, lecz jeśli chodzi o Violet, uważała za kolejną zaletę bycia rozwódką to, że mogła gotować najdziwaczniejsze potrawy i sypać do nich tyle czosnku, ile sobie zamarzyła.

Z chęcią zaśpiewałaby jakiś przebój - fałszywie i na cały głos - obawiała się jednak zbudzić gościa. Z nim też sobie poradzi. W ciągu ostatniej godziny skopała parę tyłków, dokończyła księgować wpływy i wydatki za ostatni tydzień, zrealizowała cztery zamówienia na przyjęcia urodzinowe i przywiozła z miasta ciężarówkę doniczek i skrzynek. Nawet nie licząc uządlenia przez pszczołę, było to sporo roboty jak na kogoś, kto chciał uchodzić za rozkojarzoną blondynkę, lecz przecież nikt nie patrzył, więc nie musiała się mieć na baczności.

Siostry sądziły, że po rozstaniu z Simpsonem boi się ponownego zranienia. To prawda, że jej eks okazał się idiotą, nigdy jednak nie przenosiła tego na pozostałych mężczyzn. Nie starała się ich unikać - starała się im pomóc, by to oni unikali jej - i przez trzy lata świetnie jej się to udawało.

Wciąż sobie podśpiewywała, gdy zadzwonił telefon - naturalnie w chwili, kiedy wkładała krewetki do sosu. Przytrzymała słuchawkę ramieniem.

- Darlene! Och, przepraszam, zapomniałam od-dzwonić... tak, mówiłaś, że jest spod znaku Lwa. Jasne. Spróbuj fritatty z kwiatami...mogą być nagietki... mówię ci, to świetny afrodyzjak... i włóż tę przezroczystą pomarańczową bluzkę... mhm... mhm...

Kiedy tylko uporała się z Darlene Webster, umyła ręce i zaczęła nadziewać krewetki na drewniane szpikulce. Znowu rozległ się dzwonek. Georgia z klubu karcianego.

- Oczywiście, że możecie przyjść tutaj, to żaden problem. U ciebie spotkamy się następnym razem. Jak nowy dywan?

Potem zadzwonił Jim White z pytaniem, czy może pożyczyć trochę czarnego lakieru. A na koniec odezwała się Boobla, żeby się dowiedzieć, czy jest jakaś szansa, by Violet przyjęła do pomocy na lato jej przyjaciółkę Kari, bo Kari nigdzie nie może znaleźć pracy. Boobla potrafiłaby przekonać niedźwiedzia do zdjęcia skóry, więc Violet w końcu musiała jej przerwać.

- Okej, okej. Mam robotę dla jeszcze jednej osoby, ale nic nie obiecuję, póki jej nie zobaczę. Przyrowadź ją w poniedziałek rano, dobrze?



Właśnie odłożyła słuchawkę i pomyślała, że to cud, że nie ochrypła od tego całego gadania, kiedy nagle zobaczyła stojącego w drzwiach Camerona.

Pewność siebie ulotniła się jak sen złoty. To niesprawiedliwe. Spał jak suseł, więc po obudzeniu powinien być półprzytomny. On tymczasem oglądał ją bystro i z zainteresowaniem, począwszy od rozpleczonego warkocza po bose stopy.

- Jesteś strasznie zajęta kobietą - stwierdził niemal oskarżycielsko, jak gdyby wprowadziła go w błąd, udając kogoś zbyt roztrzepanego, by sobie radzić z prawdziwym życiem.

- Przykro mi, że telefony cię obudziły. Po powrocie myślałam, że oszaleję: wszyscy mnie znali. -I dodała szybko: - Jesteś głodny? Muszę tylko wrzucić krewetki na grill i jedzenie gotowe.

- Ja to zrobię, ty usiądź wreszcie.

Zawsze kiedy ona się budziła, miała całą twarz w czerwonych zagnieceniach, rozczochrane włosy i okropny humor. On najwyraźniej budził się rzeński jak skowronek. Nie mogłaby polubić mężczyzny, mającego tak poważną wadę. Co gorsza, należał też do tych typów, co to z każdym umieją się zaprzyjaźnić i wszędzie czują się u siebie. Bez trudu rozpalił grill (z którym ona miała zawsze masę kłopotu), potem znalazł szufladę ze sztućcami i bez pytania nakrył do stołu. Jasne, to nie problem wydedukować, gdzie są widelce i noże, ale kto widział faceta, który robi coś w kuchni, nie domagając się pochwał co pół minuty? Bardzo podejrzane. Gdzieś musi być haczyk.

- Co zwykle pijesz do obiadu?

- Jest wino, jeśli masz ochotę. Niezbyt drogie, ale ujdzie. Ja dziękuję; i tak kręci mi się w głowie od tego szaleństwa.

Uśmiechnął się. Uśmiech przeobraził jego twarz, odmłodził ją i dodał jej uroku.

- Więc napijesz się...?

- Mrożonej herbaty - oświadczyła stanowczo. - To był wyczerpujący dzień.

Telefon odezwał się po raz setny - zwyczajna sprawa, nic wielkiego - więc Violet ściszyła dzwonek i włączyła automatyczną sekretarkę. Dość zbawiania całego świata, pora się zająć lawendą.

Ledwie jednak usiedli do stołu, stało się jasne, że jeszcze przez jakiś czas nie porozmawiają o interesach.

- Ile czasu nie jadłeś? Tydzień? - zapytała taktownie.

- Prawdziwego jedzenia? Bardzo długo.

Nie mógł nie oblizać palców po wyśmienitych, pikantnych krewetkach. A kiedy je oblizał, spojrzał jej głęboko w oczy.

- Wyjdiesz za mnie?

Przewróciła oczami.

- Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie.

- Nigdy i żadnej. Bardzo dawno temu, po bardzo nieudanym małżeństwie, doszedłem do wniosku, że nie nadaję się na męża. Ale z chęcią zrobię dla ciebie wyjątek.

- Bardzo dziękuję - odparła uprzejmie - ale powiedziałabym „tak” tylko najgorszemu wrogowi, a nie znam cię na tyle, by mieć pewność, że się kwalifikujesz.

Z całą pewnością żartował, teraz jednak zawahał się, w zamyśleniu mrużąc oczy. Przestał nawet jeść - na całych piętnaście sekund.

- Ciekawe. Więc uważasz, że tak trudno z tobą wytrzymać w małżeństwie?

- Nie uważam. Wiem.

Nie zamierzała zaczynać poważnej rozmowy. To była jego wina. Kiedy tylko powiedział, że nie interesuje go małżeństwo, odprężyła się mimowolnie. Teraz jednak szybko wróciła do żartobliwego tonu.

- Nieważne. Ale powinieneś uważać, komu składasz taką propozycję.

- W normalnych okolicznościach tak. Ale jeśli chodzi o ciebie, wiem wszystko, co trzeba. Nie jadłem podobnych wspaniałości od... cholera. Chyba nigdy. Gdzie się nauczyłaś gotować?

- Od mamy. Wielu jej krewnych pochodziło z Francji. Ona sama też lubiła gotować i nas do tego zachęcała. Daisy została świetną kucharką, a ja po prostu lubię się bawić w przyrządzanie różnych dziwnych rzeczy.

- Znam się na gotowaniu i nawet lubię to robić w wolnych chwilach. Ale nigdy nie umiałbym przyrządzić czegoś podobnego.

Uznała, że dość tych komplementów. Wokół stołu zebrały się koty, czekając niecierpliwie na resztki krewetek. Zapadał wieczór. Świerszcze nie zaczęły jeszcze serenady, ale ptaki i wiatr już ucichły.

Cameron wymiół talerz i nałożył sobie kolejną porcję.

- Niewiele widziałem po drodze, ale zdaje się, że masz tu ładny kawałek ziemi - zauważył.

- To prawda. Należy do rodziny od osiemnastego wieku. Czasem mówisz z francuskim akcentem - dodała po chwili. - Chociaż nie cały czas. Mieszkasz na stałe we Francji?

- Tak i nie. Pracuję dla Jeunesse od piętnastu lat. Lubię tę robotę, ale zawsze najbardziej zależało mi na włóczeniu się po świecie. Mam małe mieszkanie w Prowansji, zachowałem też amerykańskie obywatelstwo i kupiłem chatę na północy stanu Nowy Jork. Ale tak naprawdę mieszkam tam, gdzie mnie pošle firma.

- Więc nie ma miejsca, które nazywałbyś domem?

- Nie. Chyba taki się już urodziłem. - Powiedział to z naciskiem, jakby chciał się upewnić, że Violet przyjmie ten fakt do wiadomości. - A ty wręcz przeciwnie, prawda?

- Tak.

Podejrzewała, że wiele kobiet próbowało go złowić. Cóż za ironia losu. Była tak bardzo zakorzeniona w miejscu, jak to tylko możliwe; zawsze marzyła jedynie o tym, by mieć męża i dzieci. Mimo to, gdy odkryła, jak bardzo się różnią, uspokoiła się całkowicie, że nie dojdzie między nimi do żadnego osobistego zbliżenia.

- Nigdy nie chciałeś mieć dzieci? - spytała.

- Mam dzieci. Dwie córki, Mirandę i Kate. Dolał sobie wina.

- Moja żona nadal mieszka pod Nowym Jorkiem. Dlatego kupiłem chatę w tej okolicy, żebym mógł odwiedzać dziewczynki parę razy w roku. Chociaż ostatnio to one częściej do mnie przyjeżdżają.

- Nie żal ci, że nie widziałeś, jak dorastają?

Wstał i nałożył sobie sorbetu z grejpfruta; było to jedyne danie, którego jeszcze nie spróbował.

- Żal. Ale mało nie oszalałem, kiedy w początkach małżeństwa próbowałem znaleźć stałą pracę. W końcu żona wyrzuciła mnie z domu, mówiąc że jestem nieodpowiedzialny. To nie była prawda.

- Nie?

- Nigdy nie opuściłem roboty, co miesiąc przynosiłem do domu wypłatę. Cóż, nie wszyscy muszą lubić to samo.

Zgadzała się z tym, lecz podejrzewała, że kryje się za tym coś więcej. Być może należał do tych mężczyzn, którzy nie znoszą żadnych więzów. A może stał się taki z jakiegoś powodu.

Wstała i zebrała talerze ze stołu. Nie miała prawa wtrącać się w jego życie.

- Wrzucę naczynia do zmywarki, a potem pogadamy na werandzie.

- Nic z tego. - On też się podniósł. - To ja wrzucę naczynia do zmywarki, a ty zaczekasz na mnie na werandzie.

Nie protestowała.

- Koty też mogę wrzucić do zmywarki? - zawołał z wnętrza domu.

- Ani się waż, jeśli ci życie miłe! - krzyknęła w odpowiedzi.

Hałasował jeszcze przez chwilę, potem wyszedł na zewnątrz, niosąc w ręce dzbanek z herbatą i dwie szklanki.

Violet siedziała na szerokiej bujanej ławce, Cameron przysunął sobie wyplatany fotel.

- Herbata z lodem, bez alkoholu - powiedział, podając jej pełną szklanę.

- Doskonale.

Jeden z kotów wskoczył mu na kolana; mężczyzna zaczął go gładzić, lecz kiedy spojrzał na Violet, oczy miał chłodne i uważne.

- Myślisz, że dostatecznie się ze sobą oswoiliśmy?

- Na tyle, żeby porozmawiać - zgodziła się. - Miałeś długą podróż, a teraz za późno szukać hotelu w White Hills. Możesz tu przenocować, bez względu na to, co ustalimy.

- Prześpię się na dworze - odparł.

- Dobrze.

Nie robiła z tego wielkiej sprawy, co oznaczało, że zyskał odrobinę jej zaufania.

- Ale wolałabym usłyszeć coś więcej na temat twoich planów związanych z moją lawendą.

- W porządku. Podobno wyhodowałaś parę nowych odmian. Ponad rok temu wysłałaś swojej siostrze próbkę, którą uważasz za szczególnie udaną.

- Pamiętam. Wspomniała wtedy, że dała ją komuś z Jeunesse.

- To byłem ja. Jeunesse zajmuje się produkcją perfum od ponad stu lat. Mają tysiące zakontraktowanych akrów. Prowansja zawsze słynęła ze swoich lawendowych pól.

Violet skinęła głową.

- Widziałam je, kiedy byłam mała. Moja matka pochodzi z tych okolic. Zawsze uprawiała w ogródku parę krzewów; dlatego wpadłam na pomysł, żeby z nimi poeksperymentować.

Kocica siedząca mu na kolanach przekreśliła się i wystawiła brzuch do pogłaskania. Cameron przesunął po nim długimi, smukłymi palcami.

- Dla ciebie może i była to zabawa, ale dla Jeunesse to wielka sprawa. Hodowcy z okolic Prowansji mają poważny problem. Nie z ziemią - tę zawsze można wzbogacić o potrzebne związki chemiczne. Ale jeśli na tym samym terenie uprawia się przez wiele lat jedną odmianę, atakują ją pasożyty i choroby. Teraz więc firma chce zawrzeć długoterminowe kontrakty z hodowcami z całego świata.

- Cameron - przerwała niecierpliwie ten wykład. - Nie jestem aż taka głupia. Wiem to wszystko.

Już drugi raz zapomniała, że ma sprawiać wrażenie zagubionej istoty, nie mającej kontaktu z rzeczywistością. On jednak ciągnął dalej bez mrugnięcia okiem:

- Więc wiesz także, że lawenda nie jest trudna w uprawie. W samej Europie i obu Amerykach istnieją setki odmian.

Wiedziała, lecz tym razem nie ośmieliła się odezwać.

- Więc... dochodzimy do mojej roli w tym wszystkim. Jestem jednym z agrochemików pracujących dla Jeunesse. Moim zadaniem jest zbadać nowe odmiany i ocenić, na ile się nadają do produkcji perfum. Prawdę mówiąc, spędziłem nad twoją odmianą ładnych parę miesięcy.

- I...?

- I jest niezrównana. Odporna i o mocnym zapachu. Lecz co najważniejsze, ma w sobie magię.

- Magię?

Cameron uniósł dłonie.

- Nie wiem, jak inaczej to nazwać. Istnieje jakiś związek chemiczny sprawiający, że ta a nie inna odmiana nadaje się do stworzenia niezwykłych perfum. I nie zapach jest najważniejszy, lecz to, w jaki sposób oddziałują z innymi składnikami. W dużym uproszczeniu nazwałbym to „stałością”. Kiedyś mogę ci to dokładniej wyjaśnić. Rzecz w tym, że jak się zdaje, twoja lawenda to ma.

Violet nigdy nie tworzyła nowych krzyżówek z myślą o zysku, o sprzedaży czy ich wartości rynkowej. Zaczęła zaglądać do szklarni po rozwodzie, chcąc się uporać z gniewem i poczuciem straty. Tworzenie czegoś nowego uspokajało. Lecz gdy teraz słuchała Camerona, widziała wpatrzony w siebie skupiony, spokojny wzrok, poczuła dreszcz podniecenia i ciekawości.

- Dobrze.

- Na początek Jeunesse chce kupić samą lawendę. Mogę albo pomóc ci w zbiorze, albo sam zająć się wszystkim, jak wolisz. Naturalnie twoich dwadzieścia akrów to niewiele, na uncję olejku lawendowego potrzeba ponad dwieście kilogramów kwiatów. Ale wystarczy, żebym mógł wyekstrahować z nich trochę olejku własną metodą i na własne potrzeby; żebym wiedział, co tu masz.

- A potem? - spytała.

- Potem, pod koniec zbioru, podejmiemy decyzję. Jeśli twoja odmiana jest tak niezwykła, jak mi się wydaje, możesz zrobić parę rzeczy. Przede wszystkim jednak musisz ją opatentować. Potem, jeśli będziesz ją chciała sama uprawiać, Jeunesse zaoferuje ci długoterminowy kontrakt. Możesz też sprzedać firmie prawa na kilka



lat. Chodzi o wielkie pieniądze, ale najpierw trzeba sprawdzić, ile jest warta ta twoja tajemnicza krzyżówka.

Violet nie oczekiwała obietnic od nikogo. Przestała wierzyć w szczęście - i w zaufanie - w dniu, kiedy przyłapała Simpsona w łóżku z jego rozkoszną przyjaciółką.

Teraz jednak poczuła, jak dawno zapomniane emocje ożywają w jakimś okrytym pajęczynami zakątku jej serca. Może z lawendą się uda, pomyślała. Nie wierzyła naprawdę, że stanie się bogata z powodu paru krzyżówek stworzonych w wolnej chwili. Ale nie było też powodu sprzeciwiać się planom Camerona. Nieważne, czy się wzbogaci, czy nie. Nie miała nic do stracenia, za to mogła przeżyć wiele ciekawych chwil.

Lawendzie była gotowa dać szansę. Mężczyźnie - nie.

Ale nie sądziła, że Cameron Lachlan może być dla niej niebezpieczny, więc nie było się czym niepokoić.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Bezksiężycowa noc była jak milcząca obietnica. Cameron leżał na plecach w rozsuniętym śpiworze, starając się nie roztrząsać, czemu czuje się tak niespokojny i przybity. Powinien być szczęśliwy. Z zachodu nadciągały chmury, przynosząc podmuchy chłodniejszego powietrza. Czuł się zmęczony, a kiedy zamykał oczy, dobiegał go słodki zapach letniej trawy, odległego pola lawendy i kwiatów rosnących w ogrodzie Violet.

Godzinę temu w sypialni na piętrze zgasło światło. Vi powiedziała mu, że może spać w domu, w pokoju dla gości, na kanapie w salonie, na ganku - gdzie tylko ma ochotę. Wyczuł jednak, że jego obecność ją krępuje, więc postanowił przenocować poza domem.

W innych okolicznościach taka noc by go zachwyciła. Natarł dziką miętą szyję i ramiona, by odpędzić komary. Nie było rosy, trawa pozostała ciepła i sucha. Słyszał pohukiwanie sowy, granie świerszczy. Świetliki tańczyły nad trawnikiem, jakby to była ich prywatna sala balowa.

Zawsze uwielbiał takie noce. Lecz nie dziś. To nie miało sensu. Kochał wolność, nigdy nie czuł się samotny. Ostatnio jednak zdawało się, że coś z nim jest nie tak.

Wieczorem obszedł farmę. Piękny kawałek ziemi - ale widywał takie i wcześniej, a nigdy nie chciał na nich osiąść. Już dawno uświadomił sobie, że nie chce być przywiązany do miejsc ani rzeczy. Ojciec Camerona zgromadził miliony, budując firmę, która

pochłaniała każdą chwilę jego życia. Peter Lachlan zmarł w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, pozostawiając syna, który go nigdy nie poznał, żonę, która przez większą część lat w małżeństwie sypiała sama, i masę cennych antyków, które tylko gromadziły kurz. Już wtedy Cameron postanowił, że nie będzie tak żył.

Dopiero tej nocy ogarnął go dziwny niepokój. Nagły powiew wiatru zmierzwił mu włosy. Koty, do tej pory leżące wokół, śmignęły w kierunku domu. Chmury sunęły szybko po czarnym niebie, świetliki zniknęły.

Poczuł na twarzy pierwszą kroplę deszczu, lecz leżał dalej. Jeśli zacznie mocno padać, przeniesie się na ganek. Zapachy farmy napływały falą. Cameron powtarzał sobie, że patrzy na starą stodołę, kamienne ogrodzenie i spadziste zbocze, lecz jego wzrok wciąż zbaczał w stronę domu. I nie po to, by podziwiać jego architekturę. Patrzył w okna na piętrze.

Szczególnie w okno od wschodniej strony, gdzie światło zgasło godzinę temu. Widział przez nie, jak Violet rozplata warkocz i potrząsa głową, by włosy spływały swobodnie. Potem sięgnęła do tyłu, by rozpiąć staroświecką bluzkę i, niech to diabli, odsunęła się w kąt pokoju, by zdjąć resztę ubrań.

Nie mógł jej rozgryźć. Jak na wariatkę była niezwykle bystra. Gotowała lepiej niż profesjonalny szef kuchni. Zajmowała się większą liczbą spraw, niż zdołałby opanować zwykły śmiertelnik: farma, dom, szklarnie, sklep z kwiatami i ziołami. Wydawała się spełniona pod każdym względem, nawet jeśli ubierała się jak stara panna sprzed stulecia. I wydawało się, że koniecznie chce uchodzić za postrzeloną,

niepozbitaną słabą kobietkę. Chociaż jego zdaniem uwielbiała adrenalinę.

Co najgorsze, w jego obecności zachowywała się jak niewinne dziewczę, nie mające pojęcia o tym, co się dzieje między mężczyzną i kobietą. Na miłość boską, przecież miała męża i z pewnością mogła się przekonać setki razy, w jaki sposób działa na mężczyzn.

Jego też pociągała. Cholera, była zmysłowa po czubki palców, posiadała złożoną osobowość i charakter, a jego zawsze pociągały takie kobiety. Miał jednak z nią pracować, a od pierwszej chwili wyczuł jej obawę. Starał się więc nie wysyłać żadnych sygnałów. Nigdy w życiu nie zbliżyłby się do kobiety, która dawała jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

Fascynowała go pod każdym względem.

Kolejnych parę kropel wylądowało mu na czole, a potem nagle lunął potop. Zerwał się z miejsca, a kiedy sięgał po śpiwór, niebo przecięła błyskawica i rozległ się grzmot. Niemal równocześnie drzwi domu otwarły się z hukiem.

- Cholera! Chodź do środka!

Musiał się uśmiechnąć. Wrzask bez wątpienia dobiegał z ust jego delikatnej jak kwiat gospodyni. Tej, która kochała się w strojach z minionych epok i sprawiała wrażenie, że jest zbyt słaba, by dokończyć zaczęte zdanie.

Zapaliła światło na ganku. Stała bosa, w podkoszulku i bokserkach o zupełnie niestaroświeckim wyglądzie. Widok jej wspaniałych piersi sprawił, że Cameron stanął jak wryty z podziwu.

- Czyś ty zwariował? Nie słyszałeś, że idzie burza? Czekam i czekam, kiedy się wreszcie zdecydujesz schować pod dach.

- Już idę.

- Zanim dojdiesz, oboje nas szlag trafi. Może mi się nie podobał pomysł, żebyś spał w domu, nie znam cię przecież, do jasnej Anielki. Ale burza to burza. Na miłość boską...

- Do jasnej Anielki, na miłość boską... zaczynam się w tym gubić...

- Lachlan! Ruszże tyłek!

No cóż, miał to w planach, tymczasem jednak stali oboje na deszczu i jej podkoszulek i szorty przemakały coraz bardziej. Podobnie jak srebrzysta kurtyna blond włosów.

Może i miał trzydzieści siedem lat, ale wierzył, że nigdy nie zestarzeje się aż tak, by nie doceniać kobiecego piękna. Z drugiej strony, gdyby trafił go piorun, straciłby na to wszelkie szanse, więc ruszył za Violet w stronę domu. Gdy tylko otwarła drzwi, nie wiadomo skąd pojawiły się cztery koty i pierwsze wpadły do środka. W tym samym momencie zgasło światło.

- No i wysiadł prąd - mruknęła.

Instynktownie chciał przejąć dowodzenie. Tak został wychowany - nie przez wiecznie nieobecnego ojca, ale przez matkę, która oczekiwała od syna, że jej pomoże w domowych kłopotach. Tym razem jednak nie miał na to szans.

Violet krążyła po ciemku, jak się zdaje, zbierając świece - nie te śliczne, ozdobne, rozstawione w każdym kącie, lecz zwyczajne, przygotowane na taką okoliczność. Zapaliła dwie i postawiła je na

dębowym stole, jedną wstawiła do sztormówki, którą umieściła w łazience, po czym przyniosła jeszcze całą garść do salonu.

Długi i wąski salon z wysokimi oknami stanowił, jak Cameron zauważył wcześniej, najstarszą część domu. Violet zastawiła go najrozmaitszymi bibelotami w kolorze różowym - chyba na wypadek, gdyby ktoś ją podejrzewał o brak kobiecości. Wystarczyło jednak przebrnąć przez potop kobiecości, by dotrzeć do ogromnego ceglanego kominka, w którym bez trudu można by upiec dzika albo dwa.

- Teraz lepiej? - spytała, ustawiając kolejne cztery świece na obramowaniu.

- Bez trudu mógłbym czytać - odparł, choć nie do końca była to prawda.

Świece nie rozpraszały mroku, za to wydobywały z cienia ją samą. Ciemne, tajemnicze oczy spojrzały mu w twarz, lecz miał wrażenie, że naprawdę go nie zauważa, zbyt zdenerwowana, by zauważyć nawet to, że mokry podkoszulek oblepił jej piersi.

- Obawiam się, że do rana nie mamy światła ani wody - stwierdziła.

- To straszne. A ja myślałem, że przepędzisz burzę -i raz-dwa naprawisz prąd.

Próbował ją rozweselić, lecz bez powodzenia.

- Chodzi o to... że nie będzie wody w toalecie i telefon nie działa.

- Cholera, nie będę mógł wyrwać ze snu żadnego z przyjaciół.

- Lachlan, przestań być taki cholernie uprzejmy! Nie rozumiał jej. Krzątała się po pokoju, zapalając wciąż nowe świece bez żadnego powodu. Był środek nocy. A co do burzy, to dom wyglądał na solidny.

- Chcesz, żebym się wyniósł do miasteczka? Niepokoisz się z mojego powodu? - spytał. - Jeśli to dla ciebie problem, nie ma sprawy, znajdę jakiś motel...

- Nie bądź śmieszny - burknęła ze złością. - Nie będziesz urządzał rajdów w środku nocy i w deszczu. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś głupszego.

Cholera, musi znaleźć jakiś sposób, żeby się z nią wreszcie dogadać. Musi jakoś sprawić, żeby się opanowała.

Złapał ją za rękę, gdy przebiegała obok - Bóg wie dokąd tym razem, pewnie przynieść więcej świec, chociaż salon już teraz przypominał jaskinię czarownicy. Znieruchomiała w momencie, gdy jej dotknął.

- Co ty wyprawiasz? - spytała.

Nie krzyknęła, nie wyszeptała. Tylko zapytała. Czuł jej szybko bijący puls, ciepło skóry. Czuł jej wzrok na swojej twarzy.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Boisz się burzy?

- Nie, coś ty. Urodziłam się tutaj. Zadymki zimą, nawałnice latem. Prawdę mówiąc, uwielbiam deszcz.

Jak zwykle powiedziała bardzo dużo, przekazując bardzo niewiele informacji.

- Więc to tylko z mojego powodu tak się denerwujesz?

- Zawsze się denerwuję i zawsze jestem rozkojarzona - zapewniła pośpiesznie. - Spytaj, kogo chcesz.

Opanował śmiech. Gdyby się roześmiał, naturalnie odciągnęłaby go od tematu. Zastanowił się, czy to dlatego udawała roztrzępaną: bo była to znakomita obrona.

- Więc spytam ciebie. Jeśli wolisz, żebym się wyniósł, powiedz tylko słowo.

- Zostajesz tutaj, chyba że boisz się spać pod jednym dachem z wariatką.

- Nie jesteś wariatką.

- Nie znasz mnie. Ja wiem lepiej i jeśli mówię, że jestem wariatką, to jestem.

Boże, przypominało to dyskusję z papugą. Tylko że ona w niczym nie przypominała papugi. Włosy miała jak srebro, żyła na szyi pulsowała jej silnie. Jej skóra, jej usta były takie delikatne. I te oczy... wciąż szukała jego spojrzenia. Nie było w nich nic rozkojarzonego, tylko pragnienie kobiety wobec mężczyzny, tak gorące, że stopiłoby Arktykę.

Nie zamierzał jej całować. Możliwe, że ona dopiero się domyślała ich wzajemnego przyciągania, lecz on zdawał sobie z niego sprawę od pierwszej chwili. Nie da się wytłumaczyć, co przyciąga do siebie daną kobietę i mężczyznę - szczególnie jeśli różnią się od siebie tak bardzo jak ich dwoje - lecz Cameron nie łamał sobie głowy nad problemami, których nie da się rozwiązać. Skoro istnieje między nimi chemia, to tak jest. Nie ma co kłamać, nie ma co udawać. Trzeba jedynie stawić czoło prawdzie.

A prawda była taka, że nie obchodziła go żadna chemia i wcale nie zamierzał jej całować.



Lecz nagle to robił.

Chciał zrzucić winę na blask księżyca... tylko że księżyca nie było. W mrocznym, oświetlonym świecami pokoju, przy pomrukach grzmotu i szumie deszczu za oknem, zdawali się jedynymi żywymi istotami. Czuł tylko zapach jej delikatnej skóry, aromat kwiatów unoszący się z jej włosów. Słyszał tylko niecierpliwe bicie własnego serca.

Nie wiedział, w jaki sposób jego ręce odnalazły jej krągłe ramiona, zsunęły się w dół pleców i przygarnęły ją do niego. Czuł jednak dokładnie chwilę, gdy jej ręce objęły go za szyję. Przysiagłby, że wcześniej go odpychała, dawała do zrozumienia, że nie jest zainteresowana - a jednak zachowywała się, jakby pragnęła tylko tego, by ją całował.

Jeszcze przez moment pamiętał, dlaczego to taki zły pomysł, lecz gdy znalazła się bliżej, zapomniał o wszystkim.

Wiele czasu minęło, odkąd całował się z kobietą. A w taki sposób nie całował kobiety od wielu lat. Nie chciał. Sądził, że to już za nim. To pragnienie, to zadziwienie, to szaleństwo. Nie wiedział, czemu to właśnie ona - i nie dbał o to.

Smakowała słodko, delikatnie, tajemniczo. Jasno-blond włosy przesypywały mu się przez palce. Odchylił głowę, przyjmując pocałunek, zachęcając ją bardziej.

Pierwszy nieśmiały pocałunek zmienił się w następny, silniejszy, bogatszy, a potem stracili poczucie czasu i przestrzeni. Nagle jej serce biło szybko, nerwowo, tuż przy jego sercu. Jej ramiona objęły mocniej

jego szyję, jego ręce zsunęły się niżej po jej plecach, przycisnął ją silniej.

Świece migotały, cienie szeptały o samotności, dawnych ranach, pragnieniu. Nie powiedziała jednak na głos ani słowa, tylko odwzajemniła pocałunek -namiętnie, swobodnie, zmysłowo.

Cameron myślał o sobie, że nie boi się ryzyka, lecz Violet okazała się odważniejsza, odsłaniając się tak bardzo. Coś w głębi jej duszy zawołało. Coś w głębi jego duszy odpowiedziało falą uczucia, której istnienia nigdy nawet nie podejrzewał.

Nagle uniósł głowę, niespokojny, zaskoczony. Otworzyła błyszczące oczy i spojrzała na niego; usta miała drżące i wilgotne.

- Nie chciałem... - zaczął.

Odetchnęła.

-W porządku.

- To przez burzę.

- Wiem.

- I księżyc.

- Wiem.

- Chcę, byś wiedziała, że możesz mi zaufać. Żebyś się nie obawiała że...

- Nie obawiam się. Mam trzydzieści cztery lata, Cameron. Zbyt wiele, bym ufała komuś, kogo ledwie znam. Ale też zbyt wiele, żebym sobie wyobrażała nie wiadomo co po byle pocałunku.

- Masz rację, to był tylko pocałunek - zgodził się.

- Właśnie— potwierdziła stanowczo. - Uznamy to za moment szaleństwa i zapomnimy o tym.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Telefon przy łóżku Violet zadzwonił tuż po piątej rano. Zerwała się gwałtownie. Kiedy macała w poszukiwaniu słuchawki, przez głowę przelatywały jej obrazy rodziców i sióstr w kałuży krwi. Nikt nie dzwonił o takiej porze, jeśli nie zdarzyło się jakieś nieszczęście - chyba że miał wrażliwość wołu.

Przysunęła słuchawkę do ucha i dobiegł ją głos Simpsona.

Puls gwałtownie zwolnił. Jej eks, podobnie jak deszcz i parę innych rzeczy, zjawiał się w jej życiu zawsze nie w porę. Na drugie imię powinien mieć „Tępak”.

- Spałaś? - spytał radośnie.

- Ja? Skąd.

Po co mu mówić prawdę? I tak na nią nie zasługuje.

- Dobrze, bo nie chciałem cię obudzić. Livie właśnie urodziła dziecko.

Violet odruchowo oparła się o ścianę, jak gdyby ktoś ją uderzył.

- Gratulacje.

- Tym razem to chłopiec. Damy mu na imię John Edward, ale Livie chce na niego mówić Ed, po mnie.

- Więc masz swojego syna.

- Tak - w jego głosie brzmiała duma. Z niej nigdy nie był taki dumny.

- Prawie pięć kilo. Pięćdziesiąt pięć centymetrów.

- Zanim się obejrzysz, zaczniesz grać w piłkę.

- Prawdę mówiąc...

- Mam nadzieję, że Livie czuje się dobrze, i cieszę się, że masz syna, Ed.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył coś powiedzieć.

Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Na dworze wstawał świt, niebo było blade jak dym, słońce jeszcze nie wynurzyło się zza horyzontu.

Przypomniała sobie burzę, a zaraz potem to, co śniło się jej tuż przed tym, zanim dzwonek wyrwał ją ze snu. Obrazy były wciąż żywe w jej pamięci: całowała się namiętnie z jakimś Szkotem imieniem Lachlan, biegła naga i wolna przez wysłany mchem las, a Lachlan ją gonił.

Odsunęła prześcieradło i wstała, nie rozbudzona jeszcze, lecz wiedząc, że po takim telefonie nie zaśnie. Na palcach krzątała się po pokoju i nie zapalając światła, zbierała ubranie. Nie chciała zbudzić Camerona.

Nawet w półmroku nietrudno było znaleźć wszystko, co potrzebne. W odróżnieniu od reszty domu, pełnej kobiecych drobiazgów, urządziła dwie sypialnie na piętrze w zupełnie innym stylu. Jedną przerobiła na biuro, do drugiej wstawiła proste drewniane łóżko i toaletkę, pomalowała ściany na biało, a na podłodze rozłożyła biały dywan i uznała sprawę za zakończoną. Lubiła swój zwariowany styl, lecz po rozwodzie pusty pokój stał się jej potrzebny z powodów, których nigdy nie próbowała nikomu wyjaśnić.

Zwykle gdy wstawała tak wcześnie, koty nie zwracały na nią uwagi, dziś jednak kręciły się pod nogami. Może wyczuły, jak bardzo

czuje się rozdygotana -czy to z powodu nieoczekiwanego pocałunku wczorajszego wieczoru, czy to z powodu telefonu od Simpsona.

Ed nie dzwonił z podłogi. Już dawno zrozumiała, że ma zbyt mało wyobraźni, by ją celowo ranić. Z pewnością wierzył, że Violet chce się dowiedzieć o narodzinach syna, którego tak bardzo chciał mieć.

Na parterze wszędzie paliły się światła - zapomniała je pogasić poprzedniego dnia. Włożyła kalosze, lekką kolorową kurtkę na długą dzinsową spódnicę. Włosy spadały jej na plecy spletaną falą, lecz nie dbała o to. Potrzebowała powietrza, chłodu poranka - czegoś, co pozwoli jej się uspokoić. Zanim Ed zadzwonił, pocałunki Camerona nie budziły w niej takiego żalu.

Teraz nie mogła opanować wzburzenia. Spod jej nóg zerwał się wystraszony królik. Nie wiedział, że jej kocia eskorta jest zbyt leniwa, by za nim gonić.

Zmierzała w stronę sklepiku „Ziołowa Oaza”, potem jednak zmieniła zdanie i ruszyła do szklarni. Było ich dwie; drugą dobudowała sama. Wszędzie tłoczyły się rośliny przygotowane albo do przesadzenia, albo na sprzedaż. Pierwszą szklarnię zbudowała jej mama. Violet pamiętała, jak bawiły się tam z siostrami, podczas gdy Margaux przesadzała i szczepiła rośliny. Siostry często wypuszczały się z ojcem na pola, Violet nie.

Uwielbiała towarzyszyć matce, patrzeć, jak pieści każdy kwiat, każde zioło i tworzy z nich artystyczne wieńce i bukiety. Margaux kochała życie, była nieuleczalną romantyczką, kobietą do szpiku

kości. I jako jedyna wiedziała, czemu naprawdę Violet rozwiodła się z Simpsonem.

Oczywiście, gdyby Violet zaczęła sobie teraz przypominać tamtą straszną chwilę, kiedy Margaux trzymała ją w ramionach, próbując pocieszyć, ukoić ból - wybuchnęłaby płaczem. Nie przeszkadzało jej to. Płakała regularnie, ale było za wcześnie na tego rodzaju ponure emocje, więc zakasała rękawy i wzięła się do roboty.

Oberwała suche liście, powąchała ziemię i właśnie zabierała się do spryskiwania roślin, kiedy usłyszała, jak otwierają się drzwi. Stał w nich Cameron -równie uwodzicielski i seksowny jak ubiegłego wieczoru. Choć ranek był chłodny, miał rozpiętą koszulę.

- Cholera, zbudziłam cię? Próbowałam się zachowywać jak najciszej. Spodziewałam się, że po wczorajszej podróży będziesz chciał pospać dłużej.

- To nie ty mnie zbudziłaś, tylko telefon. O tej porze zwykle oznacza kłopoty. Wszystko w porządku?

- Idealnym - zapewniła.

Zaraz jednak musiała pociągnąć nosem. Do oczu napłynęły jej łzy. W dzieciństwie nie znosiła swojej impulsywności, teraz jednak doceniała jej siłę. Mężczyźni byli wstrząśnięci na widok łez i unikali jak mogli płaczących kobiet. Zwykle skutkowało to fantastycznie.

-Hej.

Zobaczył łzy, ale zamiast się zmieszać jak każdy normalny facet, wolno podszedł bliżej.

- Co jest grane? Złe wieści, kiepski ranek, o co chodzi?

- O idiotyczny nastrój, to wszystko.

- Ktoś umarł?
- Nie.
- Jakiś idiota cię rzucił?
- Boże, nie.
- Skaleczyłaś się? Znowu jakaś pszczoła?
- Nie, nic się nie stało.
- Ale ktoś dzwonił - powtórzył uparcie.
- Tak. Mój były mąż. Żeby powiedzieć, że jego nowa żona

urodziła drugie dziecko. Są strasznie szczęśliwi i ja też się cieszę ze względu na nich.

Łzy popłynęły znowu. Ktoś, kto twierdzi, że jest szczęśliwy, i zarazem płacze, z pewnością ma nierówno pod sufitem. Cameron bez wątpienia tak pomyśli.

On jednak, jak gdyby wcale nie zastanawiając się nad sensownością jej postępowania, wszedł do środka. Mijając Violet, ścisnął ją lekko za ramiona, po czym zaczął się rozglądać wokół. Zaglądał do doniczek, wachał ziemię, a w pewnej chwili nawet jej spróbował.

Jak mogło jej to nie zaciekawić?

- Często jesz ziemię?

- Aha. Próbowałem najróżniejszych wyrafinowanych testów, ale czasami zmysły zdradzają to, co najważniejsze. Smak powie mi, czy ziemia jest kwaśna, czy nie. To też twoje eksperymenty z lawendą?

- Nie tylko z lawendą.

Ponieważ wciąż jeszcze czuła się roztrzęsiona, nie do końca umiała pohamować wylewność.

- Kiedy tu przyjechałam po rozwodzie, nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Mama i tato przenieśli się na południe, dom stał pusty i czekał na którąś z nas. Więc miałam gdzie mieszkać... i nie musiałam od razu szukać pracy, bo zostało mi sporo pieniędzy po rozwodzie. Simpson chciał dostać nasz dom, ja nie, więc mnie spłacił. Nieważne. W każdym razie uznałam to za dowód, że czuje się winny.

- Był?

- Jeszcze jak. W każdym razie przyjechałam tutaj i nagle przypomniało mi się dzieciństwo, jak się kręciłam obok mamy, z jaką przyjemnością sadziłyśmy różne rzeczy. Nie wiedziałam, co chcę robić do końca życia, ale prowadzenie „Ziołowej Oazy” wydało mi się sensownym pomysłem na parę lat. Rozwód to jakby zniszczenie czegoś... więc dla odmiany chciałam coś zbudować.

- Świetnie ci idzie - zauważył.

- Fakt. Jest taki rodzinny dowcip, że wszystko, czego się dotknę, mnoży się dziesięciokrotnie. - Znowu poczuła napływające do oczu łzy. - Pokażę ci lawendę.

- Najpierw zrobię ci śniadanie.

- Słucham?

- Śniadanie. Nic nie jadłaś. Ja też nie. A ponieważ pozwalasz mi u siebie mieszkać, ja zajmę się gotowaniem.

Zrobił naleśniki z jagodami. Siedziała przy stole, pozwalając się obsługiwać. Kolejna rzecz, której się nauczyła po rozwodzie: nie płaszczyła się przed mężczyznami, zachowywała się jak księżniczka. Wszyscy normalni faceci, a przynajmniej wszyscy vermontczycy,



obchodzili damy szerokim łukiem, tymczasem Cameron... po prostu nie wydawał się normalny.

Jeśli pamiętał wczorajsze namiętne pocałunki i jeśli coś dla niego znaczyły, to nie dawał tego po sobie poznać.

Jeśli dziwił go widok kobiety noszącej długie ozdobne klipsy, barwną kurtkę, a do tego kalosze i na dodatek okropnie rozczochranej, też się z tym nie zdradził.

- Potrzebuję jakiegoś kąta, żeby rozstawić laboratorium. Mogę się zainstalować w starej szklarni. Ma wodę i długi stół - wszystko, czego mi potrzeba.

- Będzie ci za gorąco - zaprotestowała.

- Nie szkodzi.

- Ciagle ci będę przeszkadzać...

- Mogę pracować w hałasie.

- Nie ma nawet wygodnego krzesła.

- Nie potrzebuję, żeby wszystko było idealne. Prawdę mówiąc, doskonałość mnie okropnie nudzi. Życie staje się dużo ciekawsze, kiedy się wybiera mniej uczęszczaną ścieżkę, prawda? Czy to nie vermontczyk to powiedział?

Tak, ale Robert Frost szczęśliwie nie żył od dawna, w przeciwieństwie do Camerona. Chociaż mówił o pracy, nie wiadomo czemu przyglądał się Violet. Patrzył na jej oczy, splątane włosy, usta bez śladu szminki. Jak gdyby dawał do zrozumienia, że lubi skomplikowane kobiety. Skomplikowane, trudne, namiętne kobiety. Jak gdyby ją uznał za kogoś, kto jest niedoskonały, a zatem bardziej interesujący.

- Rób, jak chcesz - burknęła z irytacją. Spojrzała na zegar i zerwała się z miejsca. - Dzięki za śniadanie, ale naprawdę muszę iść. Sklep powinien być otwarty od dobrych paru minut. Zobaczymy się później...

Obracała się do wyjścia, gdy nagle wypowiedział jej imię - bardzo cicho, bardzo łagodnie.

- Co?

- Chciałem się tylko upewnić, że wszystko jasne. Że ci nie przeszkadza, że będę tu pracował i mieszkał przez jakiś czas.

- Nie ma sprawy - zapewniła.

- Musimy podpisać umowę. Machnęła ręką lekceważąco.

- Nie dbam o papierki.

- Dbasz. Bo chodzi o możliwe pieniądze dla ciebie i ochronę twoich praw.

- Teraz nie mam czasu.

Wyszła, zostawiając mu na głowie zmywanie naczyń i cały dom. I z pewnością sprawiając wrażenie nieuporządkowanej, łatwo ulegającej emocjom kobiety, z którą nie chciałby mieć do czynienia.

Od początku twierdził, że nie szuka trwałego związku. Lecz tamte pocałunki... nie ufała im. Postanowiła, że musi stworzyć między sobą i Cameronem jak największy dystans emocjonalny. Więc dalszych pocałunków nie będzie.

Nie tylko ze względu na niego. Ze względu na nią. Bo mężczyzna taki jak on przypominał jej o wszystkim, czego nie mogła mieć.

Cam zawsze miał wrażenie, że małe miasteczka w Vermont są ciche, spokojne i sielskie.

Farma Violet była równie spokojna jak lotnisko międzynarodowe Kennedy'ego w pierwszy dzień wakacji.

Odbył krótką wyprawę na pole lawendy, lecz szybko wrócił na podwórze. Czuł, że zwariuje, mając przed sobą pole, na które może tylko popatrzeć. Widok zapierał dech w piersi. Rośliny były bliskie zbioru, pierwsze kwiaty zaczynały już rozkwitać. Za parę dni będą się idealnie nadawać do testów. Uważał jednak, że nie ma prawa nawet ich tknąć, póki nie podpisze z Violet formalnej umowy. Mogła ufać, że jej nie oszuka, lecz nie mogła tego wiedzieć na pewno.

Będzie ją musiał po prostu złapać w wolnej chwili, wyjaśnić jej zasady kontraktu i zmusić do podpisania dokumentów.

Tymczasem rozstawił sprzęt. Kiedy go wypakowywał z samochodu, jego wzrok wciąż błądził po podwórzu i zabudowaniach. Dziwne. Zwykle nie dbał o otoczenie. Każde nowe miejsce było ciekawe i stawiało inne wymagania. To jednak zdawało się inne - ziemia, budynki, atmosfera budziły najdziwniejsze uczucia.

Nigdy nie czuł się związany z żadną okolicą, częściowo dlatego, że nie chciał się uzależniać od rzeczy. Do diabła z tym. Niektóre zabudowania zdawały się stare i zniszczone, lecz wszystkie były dobrze utrzymane. Wciąż miał wrażenie, że tutaj potrafiłby znaleźć swoje miejsce, czuć się, jakby tu przynależał.

Nigdy wcześniej nie miał takiego wrażenia. Nigdy go nawet nie pragnął. Pewnie złapał jakiegoś wirusa, który teraz miesza mu w mózgu. Zabrał się do pracy.

Niestety, zawsze musiał ze sobą wozić sporo sprzętu. Jego ubrania zmieściłyby się w torbie, lecz potrzebował wielu odczynników i urządzeń. I chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, był na ich punkcie trochę przewrażliwiony. Sam mikroskop kosztował fortunę - i był jej wart. Nie mógł ze sobą wozić całego zestawu do destylacji, ale zbudował mały, wydajny destylator parowy do ekstrakcji olejku lawendowego.

Widząc, w jakim stylu się ubiera, wielu ludzi sądziło, że Cameron ma swobodny stosunek do życia. I była to prawda, sam w to wierzył przez wiele lat. Jedyne wyjątkiem stanowiła praca: tutaj pozwalał sobie być perfekcjonistą.

Rozstawianie sprzętu zwykle nie sprawiało mu najmniejszych kłopotów, tego ranka jednak najwyraźniej uwziął się na niego pech. Po pierwsze, koty Violet z jakiegoś sobie tylko wiadomego powodu postanowiły mu dotrzymać towarzystwa. Stara szklarnia wyglądała bardzo stylowo ze swoją ceglana podłogą i cementowym stołem. Jednak miejsce wokół zlewu zajęło sześć wielkich, kudłatych potworów, obserwujących każdy jego ruch. Co gorsza, ciągle chciały pić.

Musiał odkręcić kran i patrzeć, jak kolejno podstawiają pyszczki pod cienki strumień wody.

O dziesiątej nadal był z robotą w lesie. Podniósł wzrok i zobaczył stojącą w wejściu dziewczynkę. Mogła mieć jakieś czternaście lat, wielkie oczy i brązowe włosy.

- Cześć, podobno gdzieś tu jest sznurek. Wskazała szafki nad zlewem.

- Bierz śmiało - zachęcił.

Ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Podeszła trochę bliżej, ciągnąc się za ucho i przestępując z nogi na nogę, i przyglądała się, co Cameron robi.

- Jestem Boobla. Tak naprawdę mam na imię Barbara i nie cierpię tego przezwiska, ale wszyscy tak na mnie wołają. Mój braciszek tak mnie nazwał, jak był mały, i od tej pory zostało.

- Doskonale, więc będę cię nazywał Barbarą - obiecał.

- Pracuję dla Violet. Jestem jej asystentką. Cameron nie podniósł brwi, chociaż wydawało mu się mało prawdopodobne, by dziewczynka pełniła tak odpowiedzialną funkcję.

- Zajmuję się wszystkim, kiedy Violet nie ma czasu - mówiła dalej. - Czyli prawie zawsze. Mamy mnóstwo klientów. Mówiła, że zostaniesz tutaj parę tygodni.

- Taki mam plan.

- Pewnie zatrudnimy moją koleżankę Kari, bo nie wyrabiamy się z robotą. Ale i tak mogę ci pomagać. Jakbyś czegoś potrzebował, po prostu wrzaśnij w stronę sklepu.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Violet mówiła, że jesteś chemikiem. Pewnie musiałeś się strasznie długo uczyć, co?

Okej, więc tego dnia nie będzie mu sądzone nic zrobić. Mała w końcu sobie poszła, ale na podwórze wciąż wjeżdżały nowe ciężarówki; słyszał telefon dzwoniący w domu i w sklepie. Za każdym razem, kiedy szedł po coś do wozu, ktoś go zaczepiał, żeby porozmawiać. Listonosz, sąsiad, jakiś klient, który chciał się

dowiedzieć, czy Violet sprzedaje „yerba mate”, cokolwiek to było. Najwyraźniej w tym miejscu wszyscy uważali przyjazne pogawędki za rzecz naturalną.

Słońce wzniosło się w górę, rozgrzewając powietrze. Koty zrobiły się senne, w powietrzu unosił się kuszący zapach lawendy z pobliskich pól. Mimo to Cameron próbował się skupić. Tylko że nagle zobaczył Violet wychodzącą ze sklepiku i zmierzającą w jego stronę.

Nie wiadomo czemu serce nagle podskoczyło mu w piersi.

Była ubrana równie dziwacznie jak poprzedniego dnia. Dziś miała na sobie sandały i letnią sukienkę w wielkie drukowane słoneczniki, której nie zaakceptowano by jako stroju do pracy w żadnej firmie. Włożyła do tego długie klipsy i pierścionek ze słonecznikami. Włosy splotła dla ochłody w nieporządny węzeł, policzki miała zarumienione od gorąca i blasku. I oczy też.

A może to dlatego, że na jej widok wzrok nagle mu się zamglił. Stały mu przed oczyma pocałunki o północy. Tego ranka nie miała na ustach szminki. Pełne, wilgotne wargi aż się prosiły o pocałunek. Orzechowe oczy rzucały mu wyzwanie, by ją spróbował zrozumieć.

Złożona, pełna sprzeczności kobieta, pomyślał. Wszystko go ostrzegało, że pakuje się w wielkie tarapaty. Po pierwsze, na wszystkie sposoby dawała do zrozumienia, że ceni sobie ognisko domowe i stabilizację, co znaczyło, że nie miał jej nic do zaoferowania. Po drugie, nie rozumiał, jak to możliwe, że tak piękna kobieta nikogo nie ma. Na dodatek czasem zachowywała się jak ktoś kompletnie pozbawiony rozumu, by chwilę potem dać dowody błyskotliwej inteligencji. Cokolwiek przed nim ukrywała, było jasne,

że nie będzie tracić czasu na faceta, który nie ma poważnych zamiarów. Zbyt wiele było bezbronności w tych wielkich oczach.

I w pocałunkach.

Powinien omijać ją z daleka, tym bardziej że przyjechał na krótko.

- Masz parę minut, Cam? Udało mi się wyrwać na pół godziny, jeśli chcesz obejrzeć lawendę.

- Idę - odparł.

Jednak w momencie, kiedy podeszła bliżej, poczuł, jak świat się poruszył. To nie miało sensu. Znał tysiące kobiet, które na niego działały. Lubił to, do cholery. Ale te oczy, te włosy, ten uśmiech.

Uważaj, ostrzegło go serce.

Co zdawało się najbardziej idiotyczne ze wszystkiego, bo Cam nigdy, przenigdy nie był nieostrożny.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Violet zrozumiała, że nie może w nieskończoność odwlekać rozmowy na temat lawendy - lecz właśnie w tym momencie nadeszło wybawienie. Barbara krzyknęła od drzwi „Ziołowej Oazy”, że ktoś dzwoni z zagranicy. Znaczyło to, że odezwała się Daisy, a Violet za skarby świata nie zrezygnowałaby z rozmowy z siostrą.

Posłała Camerona do domu po lunch, by nie podsłuchiwał. Żeby ruszyć faceta z miejsca, starczy wspomnieć o jedzeniu. Zamknęła się w swoim biurze w „Ziołowej Oazie”, niewiele większym od schowka na szczotki, i podniosła słuchawkę.

- Więc dotarł na miejsce. Jak ci się podoba? Violet odsunęła słuchawkę od ucha, po czym przysunęła ją znowu.

- Chwileczkę. Co to ma znaczyć?

- A o co chodzi?

- Dobrze wiesz, o co. To, jak mi się Cameron podoba, nie ma nic wspólnego z lawendą. Podobno przyjechał z powodu olejku. Swoją drogą te prawnicze klauzule to istny koszmar.

- Fakt - przytaknęła Daisy radośnie. - Ale nie przejmuj się tym. Zostaw to Cameronowi. Jest uczciwy do szpiku kości. Przy odrobinie szczęścia zbijesz fortunę, dziecino. A tymczasem będziesz miała okazję zapomnieć o tamtym pałacu, z którym się nareszcie rozwiodłaś.

Violet zamknęła oczy i pomodliła się o opanowanie. Kochała swoje siostry, chociaż obie potrafiły zaleźć za skórę. Camille była



młodsza, więc łatwiej nią było kierować. Powściągnięcie zapędów Daisy stanowiło znacznie większe wyzwanie.

Daisy była rodzinną ślicznotką. Bóg wie, czemu matka dała jej imię po tak pospolitej roślinie jak stokrotka. Z urody i charakteru przypominała raczej jakiś rzadki, tropikalny kwiat. Daisy miała też sporą siłę przebicia - wyjechała do Francji i prowadziła tam szalone, wolne życie, o jakim wszyscy marzą, lecz którego nikt nie odważa się spróbować. Nikt w domu nie potrafił okiełznać jej stanowczego, władczego sposobu bycia.

- Coś mi się tu bardzo nie podoba - mruknęła Violet groźnie. - Od jak dawna to knułaś? Przysłałaś tu Camerona nie tylko z powodu lawendy. Chciałaś mnie zrobić. Niech cię lichy porwie. Pomyślałaś, że na niego polecę, przyznaj się.

- Daj spokój. Czy nie jest słodki?

- Ma mnóstwo zalet, ale słodki z pewnością nie jest. Jest przystojny, fakt. Zdecydowany. Niezależny. Ma fantastyczne oczy. „Słodki” może być mały chłopczyk.

- Słusznie. Nie potrzebujesz więcej chłopczyków. Pora na prawdziwego mężczyznę.

- Co takiego?

- Nie mam pojęcia, i Camille też nie, co ci zrobił tamten palant. Ale obie wiemy, że przed rozwodem stało się coś złego. Złamane kości zrastają się w sześć tygodni, złamane serca trochę dłużej. Jesteś stworzona do małżeństwa, Vi. Pora na kolejną próbę.

- Odbiło ci. Wszystko powiem mamie.

- Żartujesz? Mama o wszystkim wie.

- Jesteś podła zmija. Uważałam cię za moją ulubioną siostrę, ale koniec z tym.

- Mhm.

Daisy ziewnęła. Wszystkie trzy siostry regularnie wykorzystywały ten chwyt, by sobą nawzajem manipulować. W tym momencie jednak coś się zdarzyło. Violet miała wrażenie, jakby siostra zakryła na chwilę mikrofon, a kiedy odezwała się znowu, mówiła zupełnie innym tonem. Jej żartobliwość wydawała się teraz udawana.

- Słuchaj, teraz twoja kolej na parę szczęśliwych chwil. Nie musisz mi tłumaczyć, co się zdarzyło przed rozwodem...

- Co się stało? - spytała Violet.

- Nic.

Violet nie bez przyczyny pełniła w rodzinie funkcję zastępczej matki - tej, która opatrywała skaleczenia pozostałych sióstr i wysłuchiwała ich zwierzeń, jakimi nie mogły się podzielić z Margaux.

- Od jakiegoś czasu kiedy dzwonicz, masz zmieniony głos. Znudził ci się romans z panem Picassem? Masz dość Francji?

- Skądże. Piękne okolice, gorące letnie słońce, powiew znad Morza Śródziemnego, wolność, mężczyźni, którzy umieją docenić kobietę...

Teraz Violet zaczęła się poważnie martwić.

- Daj spokój z tymi bzdurami. Skrzywdził cię?

- Nie. I zostaw ten temat w spokoju. Mówimy o tobie: tobie i miłości, tobie i seksie, tobie i Cameronie. Pomyśl o tym, dobra? On nie szuka żony, ale poza tym to porządny facet. Uczciwy i w sam raz

dla ciebie. Żebyś się mogła bezpiecznie zabawić, zanim się znowu rzucisz na głęboką wodę. A przy tym naprawdę się zna na lawendzie.

Violet odłożyła słuchawkę. To, co jest ze mną nie tak, nie ma żadnego związku z lawendą, pomyślała.

I nie da się naprawić.

Szybko ruszyła do domu, żeby coś zjeść, ale znowu nie miała okazji porozmawiać z Cameronem. Tym razem to do niego ktoś zadzwonił. Któraś z córek trzymała go przy telefonie prawie pół godziny.

Violet umierała z pragnienia, by go wypytać o tę pogawędkę, lecz właśnie kiedy kończył, zobaczyła wjeżdżającą na podwórze półcięzarówkę dekarza.

Znowu się spóźnił, więc rzuciła się w tym kierunku, by go zwymyślać.

A kiedy ponownie próbowała wysledzić gościa, nie wiadomo skąd wyskoczyła dziennikarka z „White Hills Gazette” ze swoją opaloną w solarium twarzą i identyfikatorem - Violet pamięta o wywiadzie, prawda? „Nie, nie pamiętała i nie miała czasu nawet się umalować, lecz reklama „Ziołowej Oazy” była sprawą zbyt ważną, by odmawiać.

Godzinę później zobaczyła Camerona w drzwiach. Przysłuchiwał się, gdy wyliczała imprezy, produkt i kursy zaplanowane na lato. Pokazał jej coś, co wyglądało jak ciasteczko owsiane z rodzynkami. Dzięki Bogu. Jeszcze chwila, a zemdlałaby z głodu i niedoboru cukru.

Po wywiadzie rzuciła się na ciasteczka, lecz Camerona nigdzie nie było już widać. Ruszyła na poszukiwania i w końcu go przydybała na ganku na tyłach domu, gawędzącego z Filbertem Greenem.

Filbert był farmerem, którego ojciec najął do opieki nad gospodarstwem, kiedy sam przenosił się na Florydę. Jego zadaniem miało być uprawianie ziemi, do czasu gdy któraś z sióstr zdecyduje się objąć dziedzictwo.

Camille właśnie wyszła za mąż, lecz nie zamierzała osiąść na wsi, a nikt nie wiedział, czy i kiedy Daisy wróci z Francji. Więc kiedy zjawiała się Violet, wszyscy się ucieszyli, że przejmie rodzinną schedę. Zrezygnowała z pomocy Filberta. Teraz jednak zobaczyła, jak obaj mężczyźni dyskutują o czymś, rysując plany na ziemi. Rozmawiali o jej lawendzie i o zbiorach. Co trzeba zrobić, kto się tego podejmie i w jaki sposób. Chciała się do nich przyłączyć, wziąć czynny udział w rozmowie, lecz w tej chwili pojawiła się kolejna przeszkoda.

Przeszkoda nazywała się Kari. W momencie gdy Violet ją zobaczyła, uświadomiła sobie, że dziewczynka snuje się za nią już od dłuższego czasu. Rozmowa o pracy, przypomniała sobie. Roboty było tyle, że ledwie sobie radziła. Mała co prawda ledwie wyrosła z pieluszek, ale umiała opowiadać o bazach danych jak stary komputerowiec.

- Okej. Zasady są następujące. Nie obchodzi mnie, w co się ubierasz, o ile nie przychodzisz do pracy goła. Nie obchodzi mnie, czy się zjawisz za wcześnie, czy za późno, o ile robisz swoje. Ale musisz lubić koty. I masz być dokładna. Nie mogę pracować z kimś, kto nie umie liczyć. Odpowiada?

Dziewczę o nieśmiałym uśmiechu i bezbronnych niebieskich oczach nagle zmieniło się w nieustępliwego negocjatora.

- Ile mi zapłacisz?

- A ile chcesz?

- Dziesięć dolców za godzinę. Zasluguję na to.

- To twoja pierwsza praca. Nie sądzisz, że domagasz się trochę za dużo?

- Poddaję się. Tato kazał mi tyle powiedzieć, tak na wariata.

- Okej, więc dostaniesz tyle, tak na wariata. Lubię dziewczyny z charakterem.

Kiedy się z tym uporała, jakimś cudem złapała trzydziestosekundową przerwę. W tym czasie przypomniała sobie pocałunki Camerona i zastanowiła się, czyby nie pofantazjować o uprawianiu z nim seksu.

Cholera, od rana ledwie miała czas wyskoczyć na siusiu, więc rozmyślanie o romansach wydawało się czystym szaleństwem. Lecz telefon od siostry obudził w niej dziwne apetyty. Daisy zwróciła uwagę, że Cameron ma jedną cechę idealnego kochanka: nie zamierza osiąść na stałe.

Inna kobieta uznałaby to za wadę. Lecz Violet... Już od trzech lat bała się, że przyciągnie do siebie mężczyznę pragnącego normalnego, ustabilizowanego życia w małżeństwie. Cameron był pierwszym facetem, co do którego mogła być pewna, że nie będzie od niej oczekiwał czegoś, czego nie mogłaby mu ofiarować.

W dodatku nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła tak silną fascynację i pożądanie wobec kogoś, kogo znała tak krótko. Ten

mężczyzna miał w sobie coś niebezpiecznego, szalonego. Coś, co kazało jej marzyć o głupich rzeczach, których nie mogła mieć.

Szalony dzień nie zamierzał się kończyć. Więcej trzydziestosekundowych przerw nie miała. Około czwartej wypłała dwie szklanki wody, by nie paść z gorąca, przypomniała sobie, że okropnie cierpi od użądlenia, więc posmarowała ranę miodem i nagle usłyszała dobiegające ze sklepu podniesione głosy.

Zastała tam Booblę bliską łez oraz rozgniewaną klientkę. Wilhelmena potrzebowała lekarstwa na starość. Coś takiego nie istniało. Jak się zdaje, parę tygodni temu kupiła trochę rumianku, koniczyny, mięty, pietruszki i pierwiosnka, przekonana, że to wygładzi jej zmarszczki i nawilży suchą skórę, a teraz żądała zwrotu pieniędzy, bo kuracja nie zadziałała.

Violet spokojnie wystąpiła naprzód.

- To odpowiednie zioła dla suchej skóry, ale nie wiem, skąd pani przyszło do głowy, że zlikwidują zmarszczki.

- Ta mała tak twierdziła.

Violet nie musiała pytać Boobli, by wiedzieć, że to nieprawda.

- Jeśli nie chce pani zatrzymać produktów, proszę je przynieść.

Otrzyma pani częściowy zwrot pieniędzy.

- To mi nie wystarczy.

Violet zmrużyła oczy. Dobrze знаła Wilhelmenę. Cholera, znali ją sprzedawcy w trzech okręgach.

- Obawiam się, że w takim razie będzie mnie pani musiała podać do sądu, bo nic więcej nie mogę dla pani zrobić.

Kobieta spierała się jeszcze chwilę. Violet potrafiła być miła, ale nie w takim wypadku. Poza tym musiała bronić swoich pracowników. Boobla była jeszcze dzieckiem. Violet nie pozwoli, żeby ktoś skrzywdził małą.

Przychodzili następni klienci, poza tym trzeba było realizować zamówienia, podlać rośliny, skosić trawę. Nawet po zamknięciu dzwonił telefon i podjeżdżały samochody dostawcze.

Kiedy Violet podniosła wzrok kolejny raz, jakimś cudem było już dobrze po siódmej. Obie dziewczynki poszły do domu, w oknie wisiała tabliczka „zamknięte”, a Cameron stał w wejściu, mając za plecami zachodzące słońce.

- Co za szatański interes prowadzisz, chere? -spytał cicho.  
- To znaczy?  
- To znaczy, że wykonujesz pracę jakichś czterech ludzi. Ledwie miałas czas połknąć w biegu kanapkę na lunch, a potem parę ciastek. Jadłś coś poważniejszego od śniadania?

Kto to wie? Kogo to obchodzi? Nie miała pojęcia, od jak dawna stał w tym miejscu, lecz cisza nagle oplotła jej nerwy jak aksamit. Wyglądał tak fantastycznie, otoczony ziołami i kwiatami, jego szerokie ramiona niemal wypełniały wejście. Kiedy spojrzała mu w oczy, wrażenie jeszcze się nasiliło. Czowała, że prócz niej, Camerona i złotego blasku nie ma tu nikogo.

W tym momencie jednak przypomniała sobie jego pytanie. Zabrzmiało, jakby ją oskarżał o to, że bardzo efektywnie wszystkim kieruje, więc instynktownie zaczęła się bronić.

- Wcale nie pracuję ciężko. Kręcę się tylko w kółko, żeby ludziom się wydawało, że mam głowę do interesów. Wpadłabym w niezłe tarapaty, gdyby klienci się zorientowali, że nie bardzo wiem, co robię.

- Jasne - mruknął Cam z szelmowskim błyskiem w oku.

Miała niemiłe wrażenie, że przejrzał jej grę - głupia obawa, biorąc pod uwagę, że wszyscy faceci w okolicy od lat uważali ją za stukniętą. Naraz podniósł do góry papierową torbę i potrząsnął nią lekko.

Violet pociągnęła nosem.

- Jedzenie?

- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Nie umiem gotować tak dobrze jak ty, ale byłem w White Hills i kupiłem parę kanapek, coś do picia i deser. Po południu dotarło do mnie, że nie ma mowy, żebym cię ściągnął na plantację, jeśli cię czymś nie wywabię z biura. Pomyślałem, że o tej porze będziesz już pewnie głodna.

Nie była. Póki nie spojrzała na niego. I wtedy zdała sobie sprawę z pustki ziejącej w jej wnętrzu, z tęsknoty, którą czuła od dawna.

- Mam niewiele czasu - ostrzegła.

Skinął głową, jakby się tego spodziewał, i znowu poruszył torbę. W powietrzu rozniósł się zapach szczypiorku, wołowiny i żytniego chleba.

- Zwykle nie jem czerwonego mięsa - stwierdziła dwadzieścia minut później, pochłaniając drugą kanapkę.

- Widzę, że nie bardzo je lubisz.

- I nigdy nie kupuję frytek. Są strasznie niezdrowe.



- Mhm - przytaknął.

Otworzył drugą paczkę frytek i wysypał je na serwetkę.

Nie wiedziała, jakim cudem udało mu się ją wyciągnąć na ten piknik. Zdaje się, że metodą Flecisty z Hammeln: szedł przed nią z torbą jedzenia, a ona po prostu pozwoliła się zaprowadzić cudownej woni do samochodu. Zanim zdążył rozłożyć obrus na szczycie wzgórza obok pola lawendy, ona już jadła.

Musiała przyznać, że jest miły. Nie powiedział ani słowa, gdy zmiatała drugą porcję frytek. Miała okropne wyrzuty sumienia - tyle tłuszczu i soli - ale smakowały wspaniale.

- Nigdy nie jem tak dużo. Pewnie myślisz, że jestem żarłoczna jak prosię.

- Fakt. Zawsze podziwiałem żarłoczne kobiety. I skąpe. A ty jesteś okropnie skąpa. Przyglądałem się, jak traktujesz te dziewczynki, które dla ciebie pracują. Patrzą w ciebie jak w obraz.

- Nabijasz się ze mnie?

- Skądże. Podziwiam cię, chere.

Kiedy uznał, że się najadła, znowu otworzył torbę.

- Ciasteczka migdałowe. I jeszcze trochę herbaty malinowej.

Obawiam się, że kupiłem za mało.

Było jej tak dobrze w jego towarzystwie, że musiała się roześmiać. Zaraz jednak wróciła do rzeczywistości. Nie powinna się czuć swobodnie. Nie tutaj.

Nieraz przychodziła w to miejsce. Ostatecznie przez ubiegłe trzy lata posadziła tu dwadzieścia akrów lawendy. Lecz o uprawę dbała

Camille, odkąd kiedyś przyjechała wczesną wiosną i zobaczyła, jak bardzo zaniedbane jest pole. Zwymyślała wtedy Violet od wariatek.

To było chore. Oczywiście Violet zdawała sobie sprawę, że będzie musiała przyjść tu z Cameronem; musieli omówić kwestię zbiorów. Poza tym jednak zapominała na długie okresy, jak bolesne skojarzenia budzi w niej lawenda.

Ścisnęło ją w gardle, gdy patrzyła na równe rzędy niskich kęp. Zanim zjawiała się Camille, stanowiły splątaną masę nieporządných pędów. Nadal nie wyglądały idealnie. Violet, która zawsze troszczyła się o wszystko, po prostu rzuciła nasiona na ziemię i zostawiła je własnemu losowi.

- Powiedz, co zamierzałaś z tym zrobić? - spytał Cameron cicho.

Jego głos był łagodny, poważny, lecz nie potrafiła wydusić słowa - nie w tym momencie.

Zapach lawendy przesycił ciepłe powietrze. Pączki dopiero się rozwijały, bo była to późna odmiana. Będą kwitły przez cały sierpień; pod koniec lata zapach stanie się nie do zniesienia, przemknie wszystko.

Kwiaty miały barwę bladofioletową, zapach był jeszcze lekki, niepodobny do niczego: czysty i świeży. Żaden inny kwiat, żadne inne zioło nie pachnie podobnie.

- Violet?

Nie patrząc na niego, wskazała gestem pole.

- Nasza mama... na imię jej Margaux... zawsze uprawiała lawendę koło domu. To ona wszystkiego mnie nauczyła. Istnieje wiele odmian lawendy, ale z grubsza można je podzielić na dwa

podstawowe typy. Pierwszy to lawenda „angielska”, chociaż naprawdę nie pochodzi z Anglii. Drugi spotyka się zwykle we Francji i Hiszpanii.

Cameron siadł wygodniej.

- Mów dalej.

- Okej. Rzecz w tym, że najlepszy olejek do produkcji perfum otrzymuje się z odmiany angielskiej. O czym pewnie wiesz, tak?

- Coś tam słyszałem, ale nie przerywaj. Chcę wiedzieć, jak to zrobiłaś, jak otrzymałaś swoją krzyżówkę.

Ucisk w gardle zelżał. Cameron z pewnością wiedział to wszystko, skoro był chemikiem, ale mówiąc, mogła się opanować.

- No więc... wiedziałam od mamy, że każda odmiana ma swoje zalety. Właściwie nie interesował mnie olejek, bo już wtedy wiedziałam, że potrzeba mnóstwo kwiatów, około dwustu pięćdziesięciu kilogramów, na parę mililitrów. Lecz niektóre linie mają mocniejszy zapach i kolor. Niektóre są odporniejsze na warunki środowiska.

Nie chciała myśleć o dzieciach. Chciała mówić tak długo, aż się opanuje i znowu będzie mogła spojrzeć na Camerona z uśmiechem.

- Po rozwodzie miałam sporo wolnego czasu. A Daisy przysłała mi parę interesujących odmian, więc dla zabawy zaczęłam robić różne eksperymenty w szklarni. Pozbierałam rozmaite okazy z okolicy i ulubione odmiany matki. Chciałam zobaczyć, czy uda mi się połączyć najlepsze cechy moich ulubionych odmian.

- Po co?

- Dla przyjemności. Żeby zobaczyć, czy to potrafię. I...

Urwała.

Kłamała. Obrazy napływały jeden po drugim.

Mężczyzna, którego kiedyś poślubiła, wierząc, że to miłość na całe życie. Wszystkiego, co wiedziała o seksie, nauczyła się od Simpsona - wszystkich niewłaściwych rzeczy. Że facet zawsze musi osiągnąć orgazm, inaczej cierpi. Że nie może zaczekać. Że Prawdziwa Kobieta zawsze szczytuje. I na koniec, że Prawdziwa Kobieta zawsze zachodzi w ciążę, jeśli tylko facet jest płodny, a nasienie Simpsona - zrobił sobie testy - było pierwsza klasa. To ona miała za wąskie jajowody.

- Violet, co się dzieje? - zapytał Cameron cicho. Wpatrywała się w lawendowe pole, aż mgła zniknęła.

- Po rozwodzie... po prostu chciałam coś hodować. Rozmnażać. Wszyscy mówili, że jestem nienormalna, skoro pozwoliłam polu tak zarosnąć. Mieli rację. Ale prawda jest taka, Cam, że mnie to wcale nie obchodziło.

- W porządku.

- Było moje, mogłam z nim robić, co chcę. Wcale bym się nie zmartwiła, gdyby wszystko się zmarnowało, gdybym nie zarobiła ani centa. Naprawdę nie dbam o to, czy ktoś mnie uzna za wariatkę, czy nie.

- Wszystko w porządku - powtórzył łagodnie:

Powiedz mu, szepnęło jej serce. Po prostu mu powiedz otwarcie. Będziesz wiedzieć, czy to ma dla niego znaczenie.

Rozumiała jednak, że to nie takie proste. Co z tego, że Cameron ma rodzinę i być może nie chce więcej dzieci. Zdaniem wielu mężczyzn niepłodna kobieta nie jest w pełni kobietą.

- Chciałam coś wyhodować. Sama. Chciałam, żeby coś wyrosło na ziemi, która zdawała się jałowa.

Więc to było wyzwanie. Stworzyć coś, co nie istniało wcześniej. Nie chodziło o pieniądze. Chodziło o...

- Hej - szepnął Cameron i objął ją ramionami, jak gdyby miał do czynienia z jakąś kruchą kobietką na skraju wielkiego, hałaśliwego ataku hysterii.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ostatnie, co Cameron zamierzał zrobić, to wziąć Violet w ramiona.

Fakt, zaciągnął ją na pole lawendy i przyniósł jedzenie, ale to tylko dlatego, że w końcu wszystko zrozumiał. Cały ten lawendowy biznes to była szaleńcza krzątanina. Jeśli nie zabierze jej w jakiś sposób od telefonu, sąsiadów i reszty bałaganu, nigdy nie zdoła z nią omówić warunków kontraktu. A sprawa była ważna. Z powodu cieplej pogody lawendowe żniwa należało zacząć za parę dni.

Zawiózł ją więc w jedyne miejsce, gdzie mógł z nią spokojnie porozmawiać, nie uwodząc jej przy tym. Przez myśl mu nawet nie przeszło, żeby jej dotknąć. I do niczego by nie doszło, gdyby nagle nie zaczęła dygotać.

Nie mógł tego znieść. Violet tryskała energią. Bez dwóch zdań potrafiła człowiekiem manipulować i zwodzić w wielu sprawach. Była uparta, niezależna do granic rozsądku i wiedziała, czego chce. Była twarda - nawet jeśli nie chciała, by ktoś się tego domyślał.

I właśnie dlatego nie mógł znieść jej widoku, wyrazu jej oczu - pełnych łez, pełnych smutku i bólu. Musiał ją objąć. Nie w głowie mu były romanse, po prostu chciał ją ochronić, pocieszyć.

Tylko że ułamek sekundy później jego szlachetne, rycerskie zamiary wzięły w łeb.

W momencie kiedy dotknął ustami jej ust, przeklęta kobieta odwzajemniła pocałunek. Wargi miała ciepłe jak słoneczny blask,

delikatne jak płatki róż. Odchyliła głowę, przyjmując z rozkoszą dotyk jego warg, pierwszy pocałunek... więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko pocałować ją drugi, a potem trzeci raz. Zatrzepotała rzesami, zawahała się przez moment, a potem wolno wyciągnęła ramiona i objęła go za szyję.

Kiedy poczuł jej ciepłe, giętkie ciało tuż przy swoim... coś się stało. Gdzieś w głębi jego ciała rozległ się cichy świst i cała reszta świata gdzieś znikła. Tylko ona była rzeczywista. Ona i uczucia, jakie w nim budziła.

Przytulił ją mocniej. Odpowiedziała uściskiem i nagle te długie, srebrzyste włosy przelewały mu się przez dłonie. Jej bransoletki zadzwoniły, but zsunął się ze stopy i potoczył w dół zbocza, lecz nie otworzyła oczu, jakby nic prócz niego się nie liczyło -i ofiarowała mu jeszcze więcej słodkich, niebezpiecznych, swawolnych pocałunków.

Może czuł się winny, że pocałował ją pierwszy.

Może wiedział, że nie powinien był tego robić, że pakuje się w kłopoty. Skąd jednak miał wiedzieć, w jak wielkie?

Całował ją wcześniej. Było niezwykle, lecz nie tak jak teraz. Miał wrażenie, jakby uwolnił coś, co trwało od dawna uwięzione w jej duszy. Nie tylko odpowiadała pocałunkami, lecz rozpaliała zmysły. Nie tylko ulegała, lecz szukała sama. Nie tylko go dotykała, lecz pragnęła, domagała się jego dotyku.

Czuł pieśczość cieplej, miękkiej skóry. Czuł zapach jej włosów, herbaty malinowej, jej skóry. Zapadła noc, księżyc wyszedł na niebo i nagle wydało się, jakby całe pole lawendy rozkwitło. Zapach unosił

się wokół, przesycił powietrze i ich zmysły. Był taki jak ona - świeży, dziki i nieuchwytny.

- Cam - szepnęła ledwie słyszalnie, z zachwytem.

Ogarnięty tym samym zachwytem pocałował ją znowu. Przesunął dłoń niżej, po jej szyi, ku piersi i tam się na chwilę zatrzymał. Nieważne, jak delikatnie jej dotykał, jego ciało wołało, że to nie dość.

Bez wysiłku zsunął jej bluzkę.

Myślał, że nie nosi biustonosza, lecz nie była to prawda. Rozpiął go i już obejmował szorstką od pracy dłońią nieskończenie delikatną pierś - lecz to także mu nie wystarczyło. Jęknęła z twarzą przy jego ustach, więc schylił się i zaczął całować jej szyję, piersi - coraz szybciej, coraz namiętniej.

Wciąż gdzieś w głębi jego duszy odzywało się. sumienie - trochę zamroczone, lecz czujne. Wiedział, że nie rozumie Violet. Że kobieta ukrywa przed światem jakieś mroczne tajemnice. Że jest istnym labiryntem sprzeczności.

Był świadkiem jej rzekomego rozkojarzenia, lecz także energii i zdecydowania. Słyszał nieraz, jak mówiła, że nie zależy jej na lawendzie, lecz nikt przecież nie eksperymentuje z czymś, na czym mu nie zależy.

I jeszcze jej obłudnie kobiecy dom i surowa, pozbawiona ozdób sypialnia, do której zajrzał przypadkiem.

W jej obecności nie mógł być pewien niczego -z wyjątkiem jednej rzeczy. Przyjechał tu w sprawie lawendy. A żeby prowadzić



interesy, musieli sobie ufać. Gdyby ją wcześniej uwiódł, wystawiłby całe przedsięwzięcie na ryzyko.

Nigdy nie był lekkomyślny. Niezależny - tak. Samolubny - jeszcze jak! Lecz nie głupi.

- Cam - szepnęła.

Rozpięła mu koszulę i zsunęła ją z ramion, a potem przyciągnęła go do siebie, tak by jej naga skóra dotknęła jego skóry.

W głowie zakreśliło mu się od głupich myśli, głupich uczuć. Była tylko ona: jej smak, jej profil w świetle księżyca, jej pachnąca lawendą skóra, spragnione usta.

Musiał wrócić po więcej. Musiał zaspokoić to pragnienie. To, co czuł do niej, do tej ziemi, do wszystkiego tutaj, było zupełnie obce dla Camerona Lachlana, jakiego dotąd znał. Przysięgał, że nigdy nie stanie się jak jego ojciec, nie da się przykuć do miejsca. Przysięgał, że żadne miejsce nie zdobędzie nad nim władzy.

A jednak Violet miała w sobie coś, pod wpływem czego budziło się w nim to okropne, zawstydzające, głupie poczucie przynależności. Czuł się, jakby go potrzebowała.

Jak gdyby on jej potrzebował.

Jak gdyby pragnęła jego - tylko jego, nie pierwszego lepszego mężczyzny, lecz właśnie jego.

I on pragnął jej - nie pierwszej lepszej kobiety, by z nią uprawiać seks. Chciał czegoś więcej. Wciąż miał irytujące, niepokojące wrażenie, że pragnie jej tak, jak nie pragnął nikogo. Że ona jedna umiałaby wypełnić pustkę, której istnienia dotąd nawet się nie domyślał.

Zapadały coraz głębsze ciemności, przesycone zapachami kwitnącej ziemi. Wiedział, że to bez sensu, lecz zdawało się, że krew pulsująca mu w żyłach powtarza jedną myśl: że straci coś bezpowrotnie, jeśli nie będzie się z nią kochał teraz, tutaj, natychmiast.

Leżąc na plecach na piknikowym obrusie, przyciągnęła go do siebie; dała znać, jak bardzo pragnie tego samego. Jego. Nagiego. Już. Nie wiadomo czemu wydawało się to najwłaściwszą rzeczą pod słońcem.

Jego koszula sfrunęła z ramion równie lekko jak jej spódnica. Jęknęła niecierpliwie, uniosła się nieco i zdjęła dźwięczące bransoletki i klipsy, po czym z powrotem wtuliła się w niego; czuł dotyk jej miękkiej, lekko spoconej skóry. Nie mógł się oprzeć, by nie zacząć jej znowu całować. Na tle białego płótna jej skóra wydawała się złota, oczy lśniły, splecione jedwabiste włosy oplótły go niczym sieć.

Nawet w ciemności widział, że Violet oddycha gwałtownie; widział puls bijący na jej szyi, pragnienie w oczach. Gdy nie dzieliło ich już nic prócz oczekiwania, odezwała się nagle, natarczywie:

- Cam... Cameron, muszę ci coś powiedzieć...
- Kontrola urodzeń. Potrzebujesz zabezpieczenia? Przez moment milczała, potem jednak odparła z całkowitą pewnością:
- Z tym nie mam problemu.
- Więc lepiej podaj mi bardzo szybko bardzo poważny powód, chere, bo na razie jestem przekonany, że chcesz tego równie mocno jak ja.

Znowu zawahała się na ułamek sekundy, ale kiedy odpowiedziała, mówiła z głębokim przekonaniem:

- Nie chcę przestawać, nie dzisiaj, nie z tobą. Weź mnie, Cam. Niech wszystko inne zniknie. Niech ta noc należy tylko do nas.

Cholera. Brzmiało to jak wielkie wyzwanie dla kochanka. Ale nie ma zysku bez ryzyka. Więc postarał się mu podolać. Wkładał całą duszę w każdy pocałunek, w każdą pieszczotę. Był delikatny, był szorstki. Pieścił ją z nagłym pośpiechem i leniwą, uwodzicielską powolnością.

Księżyc oblewał jej skórę srebrnym blaskiem. W pobliżu pohukiwała sowa, jedyny świadek. Zapach lawendy przesycił powietrze.

Objęła go długimi, smukłymi nogami, kiedy sprawdzał, czy jest gotowa - jak gdyby nie dała mu poznać tysiąc razy, że go pragnie. Ich wargi spotkały się i przywarły do siebie, kiedy w nią wchodził, z początku starając się być delikatny. Lecz szepnęła jego imię z szaloną porywcznością, domagając się, by wszedł głębiej, silniej.

Więc to zrobił, zanurzając dłonie w jej włosach, przywierając ustami do jej warg. To było szalone, zupełnie obłąkane, lecz miał wrażenie, że należy do niej w jakimś niezwykłym sensie. Nie wiedział, że coś takiego w ogóle jest możliwe. To tylko seks, powtarzał sobie. Najlepszy seks, jakiego zaznał w życiu, lecz tylko seks.

Sam nie wierzył w to kłamstwo. To coś wstrząsnęło posadami jego świata.

Czy raczej zrobiła to ona. Odpowiadała pieszczotą na pieszczotę, biciem serca na bicie serca; jej smukłe ciało zadrżało w tym samym momencie co jego. Posiadła go w tej chwili. A może to on posiadał ją. Niech go diabli, jeśli potrafił dostrzec różnicę - i nie dbał o to. Niebo otwarło się w deszczu gwiazd, a może to tylko poczuł, jakby szybował z nią razem ponad księżycem.

Przez mgnienie żałował, że używała antykoncepcji, tak silne było owo obłąkane pragnienie przynależności. Chciał, żeby nosiła w sobie ich dziecko. Lecz ta myśl, podobnie jak wszystkie inne, tylko przemknęła mu przez głowę. Razem osiągnęli szczyt i razem opadli, tuląc się w ramionach.

Później... minuty później, godziny później Cameron otworzył oczy. Księżyc wciąż świecił na niebie. Lawenda i trawy nadal pachniały, gdzieś nawoływała sowa. Violet leżała przytulona do niego, z policzkiem w zagłębieniu jego ramienia, jej miękkie włosy łaskotały go w policzek.

-Cholera.

Podniosła głowę.

- Ojoj. Mówisz jak facet targany wyrzutami sumienia.

- Pudło. Nie wyrzekłbym się tego, co było między nami, choćby zależało od tego moje życie.

Nie mógł być w niej zakochany. Nie tylko dlatego, że ledwie ją znał, lecz ponieważ przyciąganie między nimi nie miało sensu. Dwa razy prawie się rozplakała. Co by zrobił z taką płaksą? Na co mu tyle kotów? Oglądał w życiu Alpy i ocean, więc jak może go pociągać

kawałek kamienistego gruntu i parę czerwonych stodół? Co się z nim dzieje?

- Cameron?

Poruszyła się w jego ramionach, odsuwając się tylko na tyle, by mogła mu spojrzeć w twarz. Ujęła jego dłoń i splótła palce z jego palcami.

- Opowiedz mi o swoich córkach.

Spojrzał na ich złączone ręce. Cholera. Cholera. W taki sposób trzymają się za ręce nastolatki, a nie dorośli ludzie, którzy leżą nago w blasku księżyca. Lecz Violet najwyraźniej to odpowiadało - i jemu też.

Pytanie padło dość nieoczekiwanie, lecz odpowiedział z chęcią. Rozmowa była znacznie lepsza od rozmyślania o tym, że chętnie kochałby się z nią znowu. Więc zaczął opowiadać.

- Miranda ma piętnaście lat, Kate szesnaście. -Zawahał się. - Przez długi czas było zupełnie oczywiste, że należą do swojej mamy. To nie znaczy, że nie chciałem brać udziału w ich wychowaniu. Zawsze chciałem i zawsze próbowałem to robić. Tylko wciąż byłem w drodze. Dzwoniłem do nich dwa razy w tygodniu, wszystkie wakacje spędzaliśmy razem. Dopiero niedawno...

- Co?

- No, cóż, ostatnio nie mogą znaleźć z matką wspólnego języka. Po większej części to zwykle nastoletnie boje matki z córkami. Klótnie o zasady, o role. Ale czasem ona ma dość i wtedy sobie myślę... myślę sobie, że gdybym gdzieś osiadł na dłużej, chętnie bym zabrał dziewczynki do siebie. Jakoś wcale mnie nie przerażają ich

nastoletnie humory. Jeśli już, mam wrażenie, że teraz potrafiłbym być dla nich lepszym ojcem niż dawniej.

Okej, odsłonił przed nią serce, więc teraz jej kolej.

- A twój eks?

Puściła jego dłoń, położyła się na plecach i spojrzała w gwiazdy.

- Hm... nazywa się Ed. Simpson. Jeszcze w college'u wiedziałam, że to moja pierwsza i jedyna wielka miłość. Ciepły, rodzinny facet z poczuciem humoru. Rzuciłam szkołę na ostatnim roku, żeby mu pomóc w pisaniu pracy magisterskiej. Był pracownikiem społecznym.

- Święty człowiek - zauważył Cam. Chętnie zacząłby pluć jadem i orać pazurami ziemię, lecz naturalnie był na to zbyt dojrzały.

- Niezupełnie - odparła sucho. - Teraz ma inną. Ściśle rzecz biorąc, ich pierwsze dziecko urodziło się pięć miesięcy po ślubie. Nie wzięłabym go z powrotem za skarby świata. Ale jemu z jakiegoś powodu wydaje się, że jesteśmy przyjaciółmi.

- To prawda?

- Nie.

- Więc czemu pozwalasz mu do siebie dzwonić?

- Bo tak. - Uniosła dłoń. - Och, kurczę, nie wiem czemu. Z początku udawałam miłą z dumy, bo nie chciałam, żeby wiedział, jak bardzo mnie zranił. A potem nie wiedziałam, jak z nim zerwać kontakt. Żał mi go, bo było im naprawdę ciężko, kiedy rodzina się powiększyła.

- Myślałem, że jest bogaty. Wspominałaś, że po rozwodzie dostałaś niezłe pieniądze. Że starczyło na budowę szklarni i eksperymenty z lawendą.

- Och. To prawda, ale nie dlatego, że Simpson dał mi coś za darmo. Mieliśmy dom do spółki, a ponieważ chciał w nim zostać, musiał mnie spłacić. Tylko że...

Bez trudu dokończył za nią zdanie:

- ...chciałaś się pozbyć tych pieniędzy, bo w jakiś sposób zdawały się brudne.

- Właśnie. Wiem, że to przesąd.

- Fakt. Ale ja też miałem takie wrażenie po rozwodzie. W moim wypadku nie chodziło o pieniądze, ale meble, obrazy. Chciałem się pozbyć wszystkiego.

- Czemu się rozwiodłeś?

- Mówiłem ci. Bo nie umiałbym osiąść na miejscu. I nie byłem dość dojrzały, nie nadawałem się na męża. A ty?

Pogładziła go stopą po łydce. Dotykali się nieustannie jak małe dzieci.

- Co ja?

Najwyraźniej zapomniała, o co ją zapytał. Cholera, on też.

- Dlaczego się rozwiodłaś? Zdradzał cię? Przestałaś go kochać?

Milczała długą chwilę, a na koniec zaśmiała się bardzo cicho, ze smutkiem.

- Mamy problem, Lachlan.

- Jaki?

- Chciałabym odpowiedzieć na twoje pytanie. Mam przerażające wrażenie, że mogłabym ci naprawdę zaufać. Dziwne, nie?

- Dziwne? Zwykle nie ufasz ludziom?

Podparła głowę na łokciu. Blask księżyca obrysował jej krągłe ramię, jedną ciężką, pełną pierś, słodką krzywiznę biodra i uda.

- Nie udawaj, Cameron. Ty też nikomu nie ufasz. Jesteś samotnikiem jak ja.

Nie wiedział, co odpowiedzieć prócz tego, że nie wyglądała mu na samotnicę z prawdziwego zdarzenia. Była jak matka ziemia, ciepła i kobieca, troszcząca się o wszystkich i wszystko wokół.

- Rozumiem, że potrzebujesz trochę czasu, żeby dojść do siebie po rozwodzie - odparł szczerze. - Ale na dłuższą metę nie wyobrażam sobie ciebie żyjącej samotnie.

- Nie wpakuję się w następny poważny związek - oświadczyła stanowczo.

Nie wierzył jej, lecz odpowiedział:

- To dla mnie duża ulga, bo nie chciałbym cię skrzywdzić. A z pewnością nie zamierzam cię okłamywać. Wiesz, że niedługo stąd wyjadę i tak musi być.

Uśmiechnęła się w chwili, w której żadna inna kobieta by się nie uśmiechnęła.

- A ja zostanę tutaj. Bo tak musi być. Więc oboje jesteśmy bezpieczni. Ty nie chcesz wstrząsnąć moim światem ani ja twoim.

- Owszem - zgodził się.



- Ale musimy uważać. Interesuje mnie tylko przelotny romans. Jeśli zaczniemy sobie za bardzo ufać, sprawy się skomplikują. Więc spróbujmy tego unikać, dobrze?

Wstała. Nie od razu zrozumiał, że rozmowa - i pieszczoty - skończone. Właściwie powinni byli skończyć wcześniej. Noc robiła się chłodna i nie wiadomo skąd wyroiły się setki żądnych krwi komarów. Mimo to kręcił głową z niedowierzaniem, zbierając rzeczy.

Kobieta, w której coraz bardziej się zakochał - bardzo szybko, bardzo nieodpowiedzialnie, bardzo mocno - szła w stronę samochodu zupełnie naga w świetle księżyca. Zdawało się, że nie widzi w tym nic niezwykłego. Zdawało się, że nie widzi też nic niezwykłego w sypianiu z facetem, który nie zamierzał z nią zostać.

Nie dawało mu to spokoju.

Większość mężczyzn byłaby szczęśliwa, słysząc, że kobieta ma ochotę na krótki, namiętny romans. On sam jeszcze tydzień temu nie posiadałby się z radości na taką wiadomość.

Tylko kiedy mu powiedziała, że chodzi jej o przelotny romans i nie zamierza mu ufać, nie wiedzieć czemu go to zirytowało. Zaslugiwała na coś lepszego. Powinna żądać od mężczyzny więcej.

I niech to diabli, on też chciał dla niej być kimś więcej. Poczul, jak mocno wali mu serce, i odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

Wszystko przez księżyc. Nigdy w życiu nie myślał o poważnym związku. Jutro, w świetle dnia, znowu będzie sobą. Na pewno.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Violet wyszła przed dom, świat okrywała mgła, prześwietlona różowymi promieniami słońca. Zroszone kwiaty i trawa przesycały świat barwami i zapachem. Takie poranki lubiła najbardziej.

Mimo to ruszyła w kierunku „Ziołowej Oazy” ciężkim krokiem i z marsem na czole. Już drugi raz dzisiaj złapała ją czkawka, żołądek nie mógł się uspokoić.

Na parkingu przed sklepem stały cztery samochody, choć była dopiero siódma. Uczestnicy kursu czekali. W środy przed otwarciem sklepu prowadziła zajęcia z produkcji ziołowych kosmetyków. Zawsze uwielbiała to robić, dziś jednak myślami była daleko.

Nigdy dotąd nie przeżyła romansu bez zobowiązań. Nie z własnej winy. Zakochała się w Simpsonie bardzo wcześnie i nigdy nie miała szansy spróbować. Teraz była całkowicie gotowa zapomnieć o zasadach, tylko że to wszystko wydawało się takie skomplikowane. Wczoraj wieczorem pierwsza ruszyła w stronę sypialni, ale zakładała, że Cameron przyjdzie tam za nią. Zamiast tego nocował w pokoju dla gości.

Jakie tu są zasady, do cholery? Skoro było im razem fantastycznie, powinien chyba przyjść do niej na noc? A wydawało się to takie proste: kochać kogoś i nie martwić się, co będzie dalej.

Tylko że na razie w ogóle to nie działało. Seks był odjazdowy. Za to potem nie spała całą noc, czekając na Camerona, a potem zadreęczając się, czemu śpi w gościnnym. I był jeszcze jeden problem.

Oszalała na punkcie tego faceta. Bardziej nawet niż na punkcie Simpsona. Cam był czuły i zabawny, i interesujący, i uczciwy, i mądry i w ogóle miał wszystkie zalety, jakich szukała u mężczyzny - nie wspominając o tym, jaki był w łóżku.

Słowo „miłość” chodziło jej po głowie, zanim jeszcze To zrobili. A To jedynie pogorszyło sprawę. A wiedziała doskonale, że od słowa „miłość” należy się trzymać z daleka.

W ponurym nastroju otworzyła drzwi „Ziołowej Oazy”. Światła już się paliły, cztery kobiety siedziały na blacie drewnianego stołu, paplały wszystkie naraz i popijały jej najlepszą kawę. Wiedziały, gdzie jest klucz i imbryk, znały całą procedurę. Betsy i Harriet były żonami farmerów, Roberta - świeżo rozwiedzioną nauczycielką, a Dina - pełną energii studentką na wakacjach. Miały ze sobą tylko tyle wspólnego, że wszystkie mieszkały w White Hills i chciały się nauczyć sporządzania naturalnych kosmetyków.

- Dzisiaj robimy krem nawilżający, płyn po goleniu i piankę do kąpieli, tak?

Violet zdjęła kalosze, uśmiechnęła się z wysiłkiem i zabrała do pracy. Praca pomoże jej oderwać myśli od Camerona.

- Słyszałyście, dziewczyny, że Dora Ritter jest w ciąży? Ludzie gadają, że z Tomem Johnsonem i że jego żona też chodzi z brzuchem.

- Niemożliwe! — wykrzyknęła Betsy z zachwytem i oburzeniem.

Zajęcia zostały rozpoczęte:

Rozdano fartuchy, wyjęto miski, garnki i menzurki, a potem przyniesiono potrzebne składniki: lanolinę, wosk pszczeli, olejek migdałowy. Violet zaczęła od przyrządzenia ziołowego wyciągu; każda z kobiet mogła wybrać swój ulubiony zapach: lawendowy, różany, miętowy, cytrynowy.

W pomieszczeniu zapachniało. Violet pilnowała, by plotki i praca nie ustawały ani na chwilę, lecz myślami wciąż wracała do Camerona. Chcę tego faceta, myślała. Chcę z nim spać, kochać się z nim i śmiać. Czemu nie miałabym tego robić? Cóż w tym złego, że dwoje dorosłych ludzi po prostu pragnie ze sobą spędzić trochę czasu?

- Jak długo to trzeba gotować? - spytała Betsy. Violet zajrzała do garnka.

- Tego się nie gotuje. Chodzi tylko o to, żeby wosk i lanolina stopiły się i połączyły. Potem dodasz olejek.

- Jasne.

- Jak to zrobisz, to mnie zawołaj, pokażę ci, jak dodać do tego wyciąg z ziół. Twój był cytrynowy, tak?

- Tak; Harriet wybrała miętę.

- Okej.

Myślała dalej: Mogę się zmienić. Nie muszę być matką i żoną. Mogę być niemoralną, beztroską kochanką, która żyje tylko dniem dzisiejszym.

Im dłużej się zastanawiała, tym jaśniej widziała, jak bardzo pozwoliła się przytłoczyć swojemu nieszczęściu. Co z tego, że była zrozpaczona, kiedy się dowiedziała, że być może nigdy nie znajdzie w

ciążę? Co z tego, że dobiło ją, gdy Simpson pędem poszukał innej - płodnej - kobiety na jej miejsce?

Mogę to zrobić, pomyślała. Jasne, trzeba będzie nad tym popracować. Poznać zasady. Znaleźć kogoś, kto też chce być niemoralny - takiego jak Cameron. Ściśle rzecz biorąc, samego Camerona, bo nigdy dotąd nie spotkała nikogo, z kim lub dla kogo chciałaby być niemoralna.

Rozwiązałyby to tyle problemów. Mogłaby traktować mężczyzn jak perfumy, zmieniać ich, kiedy się znudzą. Liczyć, że facet będzie przy niej tkwił do końca życia, bo obiecał ją kochać, to obłąd. Znacznie łatwiej nie angażować się na dłużej i dzięki temu nie przejmować się własną niedoskonałością.

- Hej, Violet! Zobacz, jak mi wyszło!

Skupiła uwagę na tym, co się dzieje wokół. Betsy nakładała na twarz grubą warstwę świeżo sporządzonego kremu. Miała na sobie bejsbolówkę, podkoszulek z logo Jacka Danielsa i ulubione tenisówki z cekinami. Obok stała Harriet, farmerka z pięćdziesięcioletnim stażem w małżeństwie. Trzy pierwsze warstwy kremu przepadły bez śladu wśród jej głębokich zmarszczek. Roberta zaczęła przychodzić na zajęcia po rozwodzie - z grubą warstwą makijażu, w biustonoszu podnoszącym biust i paznokciami pomalowanymi na wściekłą czerwień. No i jeszcze Dina.

- Hurra! - zawołała właśnie ta ostatnia. - Chyba skończyłam płyn po goleniu. Fajny, tylko nie wiem teraz, co z nim zrobić. Ani jak.

- Wiedziałam, że jedyna dziewczyna w tym towarzystwie na pewno zrobi coś dla faceta - prychnęła Harriet.

- Kto mówi, że jestem dziewczcą?

- Musimy poszukać kogoś, żeby na nim przetestować ten płyn, zanim go dasz w prezencie swojemu wybrańcowi. Któraś ma może owłosione nogi? I chce się do tego przyznać?

Betsy wybuchnęła swoim zaraźliwym śmiechem i po chwili wszystkie trzymały się za brzuchy, ocierały łzy i krztusiły się kawą.

Nagle zapadła cisza: w drzwiach zjawił się Cameron. Violet uświadomiła sobie jego obecność po zmianie rytmu własnego serca. Obróciła się i zobaczyła go, z kubkiem w jednej ręce i plikiem papierów w drugiej, zaspanego i seksownego. Spojrzał jej prosto w oczy, jakby w pokoju nie było nikogo innego. Przypomniała się jej nagle ubiegła noc: fala pożądania, namiętności, czułości, jakiej nie doznała wobec żadnego innego mężczyzny. Nigdy nie oddała się tak łatwo, tak do końca.

Nagle nie była już wcale pewna, czy potrafiłaby być tak rozwiązła, jak sobie wyobrażała. Nagle poczuła, że z Cameronem gotowa byłaby zaryzykować więcej niż z kimkolwiek. Więc musi uważać, bardzo uważać.

Pozostałe kobiety rzuciły się na niego z zupełnie innych powodów.

- Świetnie się nada na królika doświadczalnego! - zawołała z zachwytem Dina.

Cameron, spłoszony, oderwał oczy od Violet. Natychmiast się zorientował, że jest w niebezpieczeństwie.

- Nie! - zaprotestował.

- Spokojnie, nie ma się czego obawiać, kochaniutki.

Posmarujemy ci tylko policzek. Nie będzie bolało. To mieszanka soku z leszczyny, octu winnego, lawendy, szalwii...

- O Boże. Nie. Violet - spojrzał na nią z rozpaczą.

- Musimy pogadać o interesach...

- Doskonale - ucieszyła się Harriet. - Siądź tu sobie i gadaj z nią o interesach, a my tymczasem przetestujemy na tobie nasz specyfik.

Nie bój się...

Cameron zniknął jak zdmuchnięty.

Przez kilka godzin nawet nie próbowała go szukać. Musiała skończyć zajęcia, sprzątnąć, potem przyjechały dziewczynki i sklep został oficjalnie otwarty. Dopiero po dziesiątej udało się jej znaleźć wolne pięć minut, kiedy telefon nie dzwonił i nikt niczego od niej nie chciał.

Wtedy jednak nie mogła go znaleźć. Zajrzała do domu, na podwórze, do szklarni. Jego wóz stał wciąż zaparkowany obok stodoły, więc na pewno był gdzieś w pobliżu. Znalazła go przy starym domku po babci.

Zbudowano go wiele lat temu, żeby dać staruszce poczucie niezależności. Po jej śmierci długo nikt tam nie mieszkał, aż do zeszłego roku, kiedy przyjechała Camille. Wtedy go odnowiono z wyjątkiem dachu. Dekarz miał się dzisiaj znowu pojawić i znowu nie dał znaku życia.

Na dachu siedział Cameron z młotkiem w ręce i pudełkiem gwoździ. Wszystkie sześć kotów kręciło się dokoła - część próbowała

mu pomagać, inne tylko się przyglądały najseksowniejszemu facetowi w trzech okręgach.

Rozumiała je doskonale, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Widzę, że postanowiłeś zrobić karierę jako dekarz? - zawołała, opierając ręce na biodrach.

Otarł ręką spocone czoło.

- Prędzej jako specjalista od ucieczek. Te straszne kobiety poszły sobie wreszcie?

Chociaż wczorajsza noc tkwiła między nimi niczym słoń w salonie, Violet musiała się uśmiechnąć.

- Tak, jesteś bezpieczny. Nie musisz się niczego bać.

- Wcale się nie boję - odparł oburzony. - Twoje koty mnie tu przyprowadziły.

- Mam w to uwierzyć?

- Słuchaj, to z pewnością miłe kobiety. Szczególnie ta z... - pokazał gestem -.. .piersiami pod nosem. I ta, która wygląda, jakby miała więcej zmarszczek niż shar pei.

Niech go diabli. Wczoraj wieczorem posunęli się za daleko. A mimo to doskonale się czuła się w jego towarzystwie.

Spojrzał na nią uważnie i zniżył głos.

- Wiesz, chere, mało nie umarłem wczoraj, kiedy musiałem spać tak daleko od ciebie.

Jej puls nagle przyśpieszył. Kto mógł się spodziewać, że Cameron poruszy ten temat tak otwarcie? Wzięła głęboki oddech.

- Więc czemu to zrobiłeś?



- Bo dopóki nie podpiszemy umowy, jestem przedstawicielem Jeunesse. To żaden problem, po prostu nie chcę, żebyś miała jakiegokolwiek obawy. - Podniósł leżący obok na dachu plik papierów. - Masz piętnaście minut, żeby na to spojrzeć?

- Cameron, nie znoszę prawniczego bełkotu. Serce nadal biło jej mocno. Więc nie dlatego do niej nie przyszedł, że jej nie pragnął. Z całą pewnością patrzył na nią jak kot na śmietanę.

- Szybko pójdzie, obiecuję. Nikt nas tutaj nie znajdzie, więc raz-dwa się z tym uporamy.

- Nie mam za dużo czasu. Nie mogę zostawić dziewczynek...

Wysłuchał jej protestów, lecz mimo to nakłonił ją, by z nim usiadła na ganku, i zaczął tłumaczyć techniczne szczegóły. Violet jednak nie mogła się skupić. Jego kolano dotykało jej kolana. Nie była pewna, czy dotknięcie jest przypadkowe; nigdy też dotąd nie wiedziała, że kolana to taka ważna sfera erogenna.

- .. .patent? - zapytał.

- Taak?

- Patent, Violet. Mówimy o patencie na swoją odmianę lawendy.

- Okej.

Westchnął.

- To nie jest odpowiedź. Pytałem, czy już występowałaś o patent?

- Mmm, chyba nie.

- Czyli nie. W porządku. Teraz posłuchaj uważnie jedną minutę, dobrze? Musisz to wiedzieć. Powinnaś opatentować i produkt, i proces wytwarzania. To dwie różne rzeczy. Więc wystąpię w twoim

imieniu o dwa patenty. To trwa strasznie długo, ale będziesz przynajmniej miała jakąś ochronę prawną. Poczowała się winna.

- Cam, nie musisz tego robić. Ja się tym zajmę, obiecuję.

- Nie wierzę. Ziewałaś cały czas, kiedy ci tłumaczyłem. Obiecuj mi tylko, że się nie zgodzisz, gdyby ktoś jeszcze ci to proponował, dobrze? Nie możesz ufać wszystkim wokół.

- Wcale się nie boję, że mnie oszukasz.

- A powinnaś - odparł surowo.

- No, dobrze.

Próbowała wyglądać na bardziej zainteresowaną, lecz bez większego sukcesu. Jego opiekuńczość była taka urocza. Rzęsy miał jasne, długie i piękne, lecz widziało się to dopiero z bliska. I te oczy...

- Musisz jakoś nazwać swoją odmianę. Pewnie nie masz żadnego pomysłu?

- Jasne, że mam! - Nareszcie pytanie, na które potrafi odpowiedzieć. - Blask Księżyca.

Umilkł na chwilę.

- Tak ją chcesz nazwać?

Nie powiedział jednak nic więcej, zatknął ołówek za ucho i tłumaczył dalej. I dalej. I dalej. Poważne terminy sypały się z jego ust. Jak Jeunesse będzie przetwarzać lawendę. Na co Violet powinna się zgodzić, a na co nie. Co Cameron zrobi w ciągu najbliższych trzech tygodni i potem, po zniwach. Ile Violet na tym zarobi, jakie są jej prawa, kogo powinna się radzić.

- W porządku - oznajmił nareszcie. - Jeszcze jedna rzecz i mogę się brać do roboty.

- Strzelaj - odparła, myśląc, że gdyby tłumaczył jeszcze chwilę dłużej, zwinęłaby mu się na podołku i zasnęła słodko.

- Muszę się tylko upewnić. Wiesz, jak stworzyłaś swoją odmianę? Potrafisz to powtórzyć?

Podniosła rękę.

- Tu mnie masz. Nie mam pojęcia.

- Vi.

- Co?

- Przestań udawać durną blondynkę. Dałem się na to nabrać tylko pierwszego dnia. Znasz się na tym lepiej od niejednego chemika. Przysięgam, że nikomu nie zdradzę, jaka jesteś błyskotliwa. Więc odpowiedz jasno. Potrafisz w innym laboratorium powtórzyć krzyżówkę, czy będziemy musieli klonować to, co wyrosło na polu?

Zaczynało ją to irytować. Bez trudu udało się jej oszukać wszystkich facetów w okolicy. I nie tylko w okolicy. Więc czemu Cameron ją przejrzał?

- Odpowiem na to pytanie, jeśli ty odpowiesz na moje.

- Okej.

- Więc tak, potrafię to zrobić. Musiałam pracować z czterema różnymi odmianami i użyć paru specyficznych technik i warunków, ale to nie był przypadek. Zaplanowałam eksperymenty i wiem, co robię. Teraz twoja kolej.

- Słucham.

- Czy naprawdę z powodu jakiejś głupiej etyki zawodowej spałeś wczoraj w pokoju gościnnym?

- Głupiej... Co mam powiedzieć? Przykro mi. Traktuję etykę bardzo poważnie. To wada, z której nigdy nie udało mi się wyleczyć.

- Aha. Podpisaliśmy umowę. Więc czy będziemy sypiać razem przez resztę twojego pobytu tutaj, czy nie?

- Tak. Zdecydowanie tak - zapewnił, jakby pytanie zupełnie go nie zdziwiło.

Mówił cicho i bardzo, bardzo stanowczo. I tak też na nią patrzył.

- I to już bardzo niedługo.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dzień dobry paniom.

Cameron wszedł do kuchni. Tym razem włożył przynajmniej T-shirt, lecz po pięciu tygodniach spędzonych na słońcu jego opalona skóra nadal budziła zachwyt pięciu kobiet.

- Cześć, Cameron!

- Jak leci?

- Miło cię znowu widzieć!

Violet przewróciła oczami. Dwa tygodnie temu Cam oblewał się potem na widok czterech kobiet popijających wino przy kuchennym stole w szlafrokach i z różową maseczką na twarzach. Teraz radośnie odpowiedział na powitania, wyjął z lodówki wodę gazowaną i zemknął na zewnątrz.

Damy siedzące wokół stołu wydały zbiorowe westchnienie. Raz w miesiącu Violet urządziła „dzień dla siebie” - nie dlatego, by brakowało jej zajęć, lecz ponieważ sprzedawane przez nią produkty przyciągały wciąż nowych klientów. Tego dnia w planach była maseczka z płatków owsianych i lawendy, kąpiel dla stóp i balsam na zniszczone włosy. Ten ostatni według jej prywatnego przepisu, z geranium, lawendą, drzewem sandałowym i różanym, rozpuszczonymi w oleju. Należało tym natrzeć włosy i trzymać owinięte ręcznikiem przez dwie godziny.

W chwili obecnej wszystkie cztery uczestniczki siedziały z maseczką na twarzach i głowami owiniętymi ręcznikami. Violet

zamierzała im podać herbatę ziołową, lecz Maud Thrumble - jak to ona - przemyciła dwie butelki wina.

- Co za artykuł! - rzuciła z zachwytem.

- Towar, nie artykuł - poprawiła ją Mary Bell. - Nie udawaj luzary, jak nie znasz młodzieżowego języka. Jesteś taka stara, że za twoich czasów mówiło się pewnie „czaruś”.

- Nieważne. - Maud i Mary niezbyt się lubiły. -Ważne, że dla kogoś takiego dałabym się zabić. Gdybym tylko nie była mężatką od czterdziestu lat, nie zostawiłabym go w spokoju.

Pozostałe kobiety powitały tę wieść tak gorąco, że trochę lawendowo-owsianej mazi wylądowało na stole. Violet rozejrzała się za ścierką.

- Daj spokój. Potem wszystko sprzątniemy.

- To żaden wysiłek - odparła Violet. Sally Williams spojrzała na nią uważnie.

- Całe popołudnie zdajesz się milcząca i jakaś nie w sosie. Co się stało?

- Nic. Wszystko jest genialnie, fantastycznie, odłotowo.

Prawdę mówiąc, gdyby sprawy ułożyły się jeszcze trochę lepiej, zaczęłyby walić głową w ścianę. Zła jak osa, starła plamę z blatu. Wszędzie wokół stały brudne naczynia, porcelanowe i szklane słoiki z ziołami, leżały kwiaty, liście i łodygi.

- Cóż za piękny dzień. Życie jest wspaniałe...

- Dość tego - przerwała Maud. - Chodzi o tego gościa, tak?

- Jakiego gościa?

Nigdy nie byłam równie szczęśliwa, powtarzała sobie Violet. Ostatnich parę tygodni przypominało bajkę. Codziennie świeciło słońce, w „Ziołowej Oazie” panował ruch jak w ulu. Cameron, z pomocą Filberta Greena, wziął na siebie wszystkie sprawy związane ze zbiorem lawendy.

Życie rodzinne układało się równie gładko: dzwoniła Camille, zachwycając się urokami miesiąca miodowego w towarzystwie nastolatków. Mama dała znać, że wybierali się z ojcem do Maine, ale gdzieś chyba źle skręcili, więc trafili na Nową Zelandię. Daisy natomiast nie dzwoniła, co było bardzo dobrą wiadomością, bo przy najbliższej okazji Violet zamierzała ją udusić. Daisy bardzo chętnie urządzała życie siostrom, lecz jeśli chodzi o nią samą, znikwała gdzieś bez śladu, zapewne na plaży nudystów na Riwierze.

Violet otworzyła lodówkę, położyła ścierkę na górnej półce i zamknęła drzwi. Kiedy się obróciła, znajome wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczami.

- O co chodzi?

- Vi, nie jesteś dzisiaj sobą - odpada Sally. -Usiądź i napij się wina, dziewczyno.

- Jest czwarta po południu. Jeśli to zrobię, jeszcze przed kolacją zasnę zwinięta w kłębek na podłodze.

- Więc coś mocniejszego. Co powiesz na wiśniowe daiquiri?

Mary Bell nie wiadomo skąd wyciągnęła srebrną butelkę. Sally migiem wyjęła z kredensu kieliszek, po czym zdjęła wilgotne ręczniki z krzesła, żeby Violet miała gdzie usiąść.

- Skoro już mowa o alkoholu...

- Nie miałam zamiaru o tym rozmawiać.

Jej uwaga została zignorowana.

- Zdaje się, że twój gość pędzi coś nielegalnego. W każdym razie za czasów mojego taty takiej aparatury używało się do produkcji księżycówki.

- To olejek lawendowy... bardzo czysty. Trochę trudno wyjaśnić ten proces. - Popatrzyła na kieliszek, po czym pomyślała „a, co tam” i upiła łyček. - Najpierw trzeba zebrać kwiaty, kiedy są niezupełnie rozwinięte, a potem... hm, właściwie proces destylacji jest podobny jak w wypadku alkoholu. Umieszcza się wodę w jednej kolbie, a kwiaty w drugiej. Podgrzewa się wodę, aż zacznie parować, i przepuszcza pod dużym ciśnieniem przez masę roślinną. Para pozwala wyizolować olejek, to znaczy olejek zawsze...

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Maud. - W głowie mi się kręci od tych mądrości. Nic nas to nie obchodzi, po prostu chciałyśmy, żebyś zaczęła gadać. Od rozwodu nie miałaś żadnego faceta, a tu nagle zamieszkał z tobą pod jednym dachem taki fantastyczny artykuł...

- Towar - poprawiła Mary Bell.

- Rzecz w tym, że gdyby tu była twoja matka, z pewnością miałaby nadzieję, że wykorzystasz sytuację.

Violet upiła następny łyk daiquiri. Poczwała się osaczona. Koty stłoczyły się na lodówce, jak najdalej od coraz bardziej hałaśliwych pijaczków.

- On tylko tu mieszka... póki nie skończą remontować dachu na domku babci. Już od dwóch miesięcy nie mogę zmusić Bartholomew, żeby to wreszcie skończył.



- Tacy już są dekarze, moja droga. Wiem, bo przez dwadzieścia lat byłam żoną jednego z nich. Tylko dwa razy zjawił się na obiad w porę, niech spoczywa w pokoju. - Anne Blayton nie odzywała się prawie nigdy, ale teraz była po dwóch kieliszkach. - Chociaż w łóżku bardzo go sobie chwaliłam.

- Miałaś tylu mężów, że z pewnością wiesz, co mówisz - odparła słodko Mary Bell.

- Nieważne, gdzie on sypia, tylko co robi, kiedy zgasną światła. Czy ty jesteś głucha i ślepa, Violet? Jedyne, co mi pozwoliło przetrwać ten straszny upał w zeszłym tygodniu, to widok jego nagiego torsu. Uau!

- Nie zwróciłam uwagi. - Violet dołała sobie wina do kieliszka.

- Violet, skarbie, właśnie wymieszałaś wino z daiquiri - zauważyła życzliwie Mary Bell. - Nie jesteś dzisiaj sobą.

- Jestem sobą za bardzo.

Drzwi wejściowe otwarły się znowu.

- Cześć, dziewczyny. Widzę, że dobrze się bawicie. Cameron uśmiechnął się do zgromadzonych, pogładził trzy koty i poszedł do pokoju.

Cztery kobiety wydały kolejne zbiorowe westchnienie.

- Zdecydowanie pora, żebyście sobie poszły - oznajmiła Violet stanowczo.

Tego popołudnia Cameron zajrzał do nich co najmniej trzy razy. Trzy razy żartował i śmiał się z jej znajomymi. A jeszcze niedawno omijał je szerokim łukiem. Nie uciekał już. Nie wydawał się też zdziwiony, jeśli wczesnym popołudniem zastawał w kuchni gromadę

kobiet w szlafrokach, z maseczkami na twarzy i moczących nogi w wiadrach.

To po prostu nie było normalne. Wydawał się kimś więcej niż zwykłym ideałem faceta - pomagał jej w pracach domowych, zajął się zbiorem lawendy, sam prał swoje rzeczy, nigdy nie zabierał pilota od telewizora i chodził po zakupy. Zostawił w spokoju dach, ale to tylko dlatego, że nie miał ani jednej wolnej chwili. Normalni mężczyźni pomagali tylko wtedy, jeśli zostali do tego zmuszeni, nakłonieni szantażem lub skuszeni obietnicą seksu. Wszyscy o tym wiedzieli. Co jeszcze gorsze, akceptował bez problemów jej życie, jak gdyby było niezwykle pasjonujące, a nie wyglądało jak koszmarny sen prawdziwego mężczyzny.

To ona miewała przez niego koszmary.

Kiedy tylko goście sobie poszli, wstawiła naczynia do zlewu, dodała płynu i włączyła zmywarę. Chwilę później uświadomiła sobie, że maszyna jest pusta. Pewnie za dużo wypła.

Albo za bardzo tęskniła za Cameronem.

Rozejrzała się nerwowo za ścierką, która gdzieś wyparowała.

Dwa tygodnie temu oznajmił, że chce z nią sypiać. Że zamierza natychmiast zacząć z nią sypiać.

Tylko że tego nie zrobił.

Całowali się regularnie: przy śniadaniu, przed lunchem. Jeśli znalazł ją w środku dnia, wtulał twarz w jej szyję albo gładził ją po biodrze. Spacerował z nią w blasku księżyca. Ocierali się o siebie, wkładając naczynia do zmywarki po kolacji, tulili w przejściu, zasypiali przytuleni na kanapie przed telewizorem.

Tylko że przeklęty typ ani razu nie spróbował na serio jej uwieść. Była wolna! Była chętna! Miała piersi! Nie prosiła go o nic! Więc co z nim było nie tak?

Usłyszała, jak na piętrze szumią rury. Cameron brał prysznic. Zajrzała po coś do lodówki i znalazła ścierkę do naczyń. Przyłożyła chłodny materiał do czoła. Przez tego faceta czuła się jak wrak. Musi odzyskać własne życie. Nie pamiętała, gdzie są jej buty, kluczyki, ścierki do naczyń. Naprawdę stawała się roztrzepana.

Dość tego. Skoro Mahomet nie chce przyjść do góry, góra przyjdzie do Mahometa.

Cameron wszedł do kuchni i stanął jak wryty. Po bałaganie spowodowanym przez znajome Violet nie zostało śladu. Kuchnia lśniła, na starym dębowym stole leżały białe płócienne podkładki pod talerze, misa pełna róż, druga z interesująco pachnącą sałatką, świeżo upieczone bułeczki.

Violet śmigąła jak fryga.

- Zrobiłam coś, co nazywam „skrzydełkami z Bahamów. To kurze skrzydełka bez kości, bardzo pikantne. Trochę soku z limetki, rum, miód, papryka... pewnie powinnam cię wcześniej spytać, ale lubisz jeść na ostro, prawda?

- Jasne.

Poziom adrenaliny gwałtownie mu podskoczył. Coś było nie tak, bardzo nie tak. Uśmiech Violet podnosił temperaturę w kuchni o dwadzieścia stopni.

Wszędzie, gdzie spojrzeł, czaiły się pułapki. A im dłużej im się przyglądał, tym jaśniej widział, jak wiele trudu sobie zadała, by je zastawić.

Była boso, w lekkiej, powiewnej bluzce odsłaniającej brzuch. Długie włosy spięła w luźny kok na karku. Użyła też perfum - nie zwyczajnego mydła cytrynowego, z całą pewnością, lecz jakichś uwodzicielskich perfum. Na pewno zawierały narkotyk. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wargi pociągnęła czymś błyszczącym. Pod bluzkę włożyła podkoszulek wielkości chusteczki do nosa, tak cienki, że bez trudu widział miękkie krągłości piersi z wypukłymi brodawkami.

- Naprawdę dziś gorąco, prawda? - spytała z uśmiechem.

Cameron poczuł kolejną fazę adrenaliny. Słusznie podejrzewał, że cierpliwość - i wstrzemięźliwość - w końcu się opłaca. Lecz Violet była zwykle tak ciepła i opiekuńcza, że nie podejrzewał, iż potrafi być także uwodzicielska. Żeby nie powiedzieć: rozwiązała.

- Sądziłem, że wychodzisz na kolację. Inaczej bym ci pomógł.

- Drobiazg - odparła słodko. - Pracowałeś tak ciężko.

Postanowiłam, że dla odmiany przydałby się nam spokojny wieczór i coś dobrego do jedzenia.

- Spokojny? - powtórzył, myśląc, że bynajmniej nie czuje się uspokojony. Wręcz przeciwnie. Mimo trzydziestostopniowego upału i dziesięciu godzin ciężkiej fizycznej pracy był napięty, gotowy i drżał z niecierpliwości.

Jednak nie po to zacisnął zęby i spał sam przez ostatnie dwa tygodnie, by tak łatwo teraz ustąpić. Fakt, był gotów całować jej stopy

- i całą resztę. Lecz trzymając się na dystans, miał swoje powody. Dlatego uśmiechnął się, jakby krew wcale nie pulsowała mu w żyłach, podszedł do niej od tyłu i pocałował ją delikatnie w kark.

- Co mam zrobić?

Zadrżała w odpowiedzi, lecz opanowała się bardzo szybko.

- Usiąść do stołu i jeść. Albo... może nalej wina. Czerwonego.

Wiem, że do kurczaka podaje się białe, ale mi się skończyło. Poza tym czerwone ma w sobie więcej mocy, nie sądzisz?

Kolejny zmysłowy uśmiech, spojrzenie spod rzęs. Będę miał szczęście, jeśli uda mi się przełknąć cokolwiek, zanim się na nią rzucę i zacznę się z nią kochać na środku stołu, pomyślał.

- Ja też wolę czerwone. Hej...

- Tak?

Musiał w jakiś sposób zyskać na czasie. Ustąpiłby jej z największą przyjemnością, najpierw jednak chciał zrozumieć, co nią kieruje. Pomyślał, że parę minut niezobowiązującej rozmowy to dobry pomysł.

- To dziwne, że jestem tu tyle czasu, a nigdy nie zapytałem, kim jesteś z zawodu. To znaczy, wiem, że po rozwodzie zajęłaś się ziołami. Ale co robiłaś wcześniej?

- Co robiłam? - Pytanie w oczywisty sposób ją przestraszyło, bo natychmiast zapomniała o zmysłowych uśmiechach i kuszących spojrzeniach.

- No, jak zarabiałaś na życie. Zajmowałaś się wcześniej czymś innym?

Posłała mu ostatni prowokujący uśmiech, zakołysała kusząco biodrami. Wcale nie przestała wyglądać cholernie seksownie, jedynie przestała to robić z wyrachowaniem.

Podawała mu talerze; ustawiał je kolejno na stole. Chwilę potem usiedli do posiłku, a pół godziny później kończyli deser i dopijali po drugim kieliszku wina.

- Byłam fizykoterapeutką - powiedziała. - Nie miałam formalnej specjalności ani nic podobnego, ale pracowałam głównie z dziećmi. Ofiarami wypadków, które straciły kończynę albo władzę w kończynie. To ciężka praca przygotować do życia takiego malucha po urazie fizycznym i psychicznym.

Cameron pokręcił głową. Fascynowało go wszystko, co mówiła.

- Niesamowite. Nie mieści mi się w głowie, że nigdy wcześniej o tym nie wspomniałaś.

- Nie było powodu. Stare dzieje.

Zawahał się. Widział z jej twarzy, że chodzi tu o coś więcej. Wyczuł, że Violet zachowuje to „więcej” dla siebie z powodów, których nie rozumiał. Pytał więc dalej.

- Zrezygnowałaś z powodu wypalenia?

- Nie. Niezupełnie. Dzieci nienawidzą fizykoterapii. Zresztą dorośli też nie. To żadna przyjemność, tylko ciężka, bolesna praca. Szczególnie dzieci, których życie gwałtownie się zmieniło po wypadku, pełne są gniewu z powodu tego, co je spotkało. Gniewu, lęku, frustracji. Nie umiem tego wyjaśnić, ale właśnie dlatego kochałam tę pracę - wtedy. Jeszcze parę skrzydełek?

- Dzięki, ale nie dam rady. Więc naprawdę lubiłaś pracować z dziećmi, tak?

Pstryknęła palcami i zerwała się z miejsca.

- Założę się, że na jedną rzecz się skusisz. Co powiesz na odrobinę lodów waniliowych? Z sosem rumowo-malinowym?

- Sprostam każdemu wyzwaniu, któremu ty dasz radę - odpowiedział.

Popatrzyła na niego. Słońce zachodziło; wierzchołki drzew stały się aksamitnie zielone, niebo przypominało jedwabisty lazur. Któryś z kotów otworzył jedno oko na dźwięk słowa „lody”, lecz reszta stada drzemała nadal, zbyt rozleniwiona, by sobie zadać trud i poprosić.

- Doskonale, skarbie, dostaniesz więc wielką porcję kłopotów - obiecała.

Jak gdyby nie robiła tego od chwili, kiedy ją poznał. W tej chwili jednak nie chciał zmieniać tematu.

- Więc... czemu nie zajmujesz się fizykoterapią? Nieznacznie napięła ramiona.

- Bo po powrocie do domu otworzyłam „Ziołową Oazę”.

To nie była odpowiedź na jego pytanie.

- I świetnie na tym wyszłaś - odparł gładko. - Nie chciałaś szukać pracy jako fizykoterapeutka w White Hills?

- Nie. W White Hills jest klinika, tylko...

- Co tylko?

Uśmiechnął się i nalał jej kolejny kieliszek wina.

- Pomyślałam, że na jakiś czas powinnam dać sobie spokój z pracą z dziećmi. Wszyscy zmieniają pracę.

- Nic podobnego. Chociaż nigdy nie rozumiałem, czemu się uważa, że należy robić karierę tylko w jednej dziedzinie.

- No właśnie. Każdy ma wiele marzeń - odparła.

- Jasne - przytaknął.

A jednak był prawie pewien, że Vi nadal marzy o tym, żeby pracować z dziećmi. Nie dlatego, że posiadał jakieś nadnaturalne zdolności, lecz ponieważ widział, z jakim żalem i tęsknotą o tym opowiada.

- Zmiany są przyjemne - zgodziła się. - Pozwalają uniknąć rutyny.

- To prawda, chociaż, cholera, nie umiałbym sobie wyobrazić ciebie wpadającej w rutynę. Wydaje się, jakbyś w każdym zajęciu potrafiła znaleźć coś fascynującego.

Rozpromieniła się na moment, i zaraz potem znowu zerwała się z miejsca.

- Okej, dość tych komplementów. Czas porozmawiać o tobie. Ciągle się zastanawiam...

- Nie - powiedział spokojnie, reagując nie na jej słowa, lecz działania. Violet najwyraźniej zamierzała zacząć hałasować garnkami, co skutecznie przerwałoby dalszą rozmowę.

- Zostaw te naczynia i zjedzmy deser na ganku. Usłuchała chętnie i chwilę potem wyniosła przed dom wielkie puchary z lodami. Zapach rumu był oszałamiająco silny, mieszał się ze słodkimi woniami wieczoru. Roześmiała się, kiedy Cameron westchnął z zachwytem. Potem nagle odstawiła swój puchar.



Nim zdążył jej zadać następne osobiste pytanie, wyjęła mu z ręki również jego pucharek i usiadła mu na kolanach. Mościła się przez chwilę, jakby chcąc znaleźć pozycję, która zrobi na nim największe wrażenie. Nie musiała szukać długo. Zanim zdążył odetchnąć, objęła go za szyję - i mimo poprzedniej impulsywności bardzo delikatnie musnęła wargami.

- Hej, co się dzieje? - szepnął.

- Nie chcesz, żebym cię całowała?

- Jasne, że chcę.

Wszystkie jego zabezpieczenia diabli wzięli. Czekał tak długo, by posmakować jej znowu, i oto była tu, ciepła i chętna, niemal naga, zapraszała, by wziął to, za czym tęsknił przez ostatnie dwa tygodnie.

Pozwolił więc jeszcze na jeden lekki, prowokujący pocałunek, i jeszcze jeden, zupełnie już inny. Nie chciał jej warg, odrobiny słodczy: pragnął całych jej ust, fali namiętności, bicia jej serca. Chciał widzieć na jej twarzy zrozumienie i niepokój - nie zły niepokój, lecz bardzo chciał, by raz na zawsze zrozumiała, że nigdy nie będzie przy nim bezpieczna. I on przy niej też nie.

Dostał wszystko, czego pragnął. Kiedy otworzyła oczy, wyglądała na oszołomioną i głęboko wstrząśniętą.

- Hm - szepnęła ledwie słyszalnie - zdaje się, że bardzo chciałeś się ze mną całować.

Nie miał ochoty zadowalać się dłużej miłymi uśmiechami.

- Naprawdę sądziłaś, że mógłbym tego nie chcieć?

- Tak spokojnie szedłeś do siebie co wieczór. Nawet nie próbowałeś...

- Uwieść cię?

- Mnie nie trzeba uwodzić, Lachlan. Jestem dorosłą kobietą.

Tylko nie rozumiałam, o co ci chodzi.

- Ja też nie, chere.

Odsunął jej z twarzy pasmo włosów.

- Wiedziałem, że cię pragnę i że ty chcesz się ze mną kochać.

Wciąż jednak miałem wrażenie, że będziesz tego żałować.

Drgnęła zaniepokojona.

- Czemu miałabym żałować tego, że się z tobą przespałam?

Nigdy nie mówiłam...

- Wiem, że nigdy nie powiedziałaś tego wprost.

Ale powiedziałaś, że chcesz się ze mną kochać dopiero wtedy, kiedy uznałaś mnie za faceta, który nie chce się wiązać na dłużej. - A kiedy poruszyła się nerwowo i zaczęła gestykulować, ujął ją delikatnie za nadgarstek. - Prawda jest taka, że mi na tobie zależy. A twoje zachowanie nie przekonało mnie, że mówiłaś prawdę. Gdyby ci naprawdę zależało na krótkim romansie, Vi, z chęcią bym na to poszedł. Tylko że ja w to nie wierzę. Że prześpisz się ze mną, a potem wstaniesz radosna jak skowronek i wrócisz do swoich spraw.

Odetchnęła głęboko, potem odepchnęła jego rękę i wstała.

Podniósł się również. Jak gdyby na ganku zrobiło się jej nagle za ciasno, zbiegła po stopniach i ruszyła szybko przed siebie. Cameron poszedł za nią. Dotarła do wielkiego klonu i zwróciła się twarzą do mężczyzny.

- Chcesz wiedzieć, o co w tym chodzi, Lachlan? Mam wąskie jajowody. To wszystko. Wszystko. Szansa, że urodzę dziecko, jest bliska zeru.

Och, cholera. W chwili gdy to powiedziała, Cameron miał ochotę kopnąć się w tyłek. Nie rozumiał, jakim cudem udało mu się tego nie domyślić, bo dawała mu setki wskazówek. Jej szaleństwo na punkcie rozmnażania roślin. Wielkie stado kotów. To, że rzuciła pracę z dziećmi. To, w jaki sposób odnosiła się do pracujących dla niej dziewczynek. Przypomnił sobie nawet wyraz dziwnego rozbawienia na jej twarzy, kiedy wspomniała, że nie potrzebuje zabezpieczenia.

- To wielka niesprawiedliwość, chere - powiedział cicho.

- Fakt. Nigdy nie tęskniłam do niezwykłych rzeczy. Bogactwa, kosztownej biżuterii i tak dalej. Chciałam jedynie mieć dom, dzieci i faceta, którego mogłabym kochać. - Gwałtownie uniosła głowę, oczy jej lśniły. - A ty się dziwisz, co to ma wspólnego z naszym pójściem do łóżka?

- Nie. Nie dziwiłem się niczemu. Po prostu żal mi cię.

- Tak, pewnie. Rzecz w tym... może dawniej nie podobałby mi się seks bez zobowiązań. Ale teraz wszystko się zmieniło. Jestem sama od rozwodu, czyli od trzech lat.

- Hej - powiedział cicho.

Cholera, znowu się rozpląkała. Wiedział oczywiście, że Violet potrafi się zalewać łzami z byle powodu, ale teraz miała powód. Cholernie wielki i poważny powód. Przytulił ją mocno, gładził po plecach, czując, jak ona drży od szlochów. Zdawało się, że nigdy nie przestanie.

- Nie chcę mieć męża - stwierdziła na koniec stanowczo.  
- Nie musisz mieć męża.  
- Od trzech lat udawało mi się przepłoszyć każdego faceta.  
- Świetnie potrafisz robić z siebie idiotkę - zapewnił. - Ale może niepotrzebnie się aż tak starasz. Nie każdy facet chce mieć dzieci...

- Wiem. Ale miałam męża, który mnie zostawił w chwili, kiedy się dowiedział, że jestem... niepełno-wartościowa. Fakt, chciał mieć dzieci. Ja też. Ale mogliśmy zaadoptować dziecko albo wziąć jakieś na wychowanie. Wtedy do mnie dotarło, że nie chodzi tylko o dzieci. Chodzi o to, że inni uważają mnie za mniej kobiecą. I ja sama tak myślę.

- Chwileczkę. A co to znowu za bzdura?

- Żadna bzdura, Lachlan. Spytałeś, o co chodzi, więc ci mówię. Zależy mi na krótkim romansie. Z tobą. Chcę wiedzieć na pewno, że się rozstaniemy. Żebym się nie musiała zastanawiać, co myślisz o mnie jako kobiecie. Jak...

Prędzej go szlag trafi, nim pozwoli jej dokończyć kolejne idiotyczne zdanie. Dość tego.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Violet była kompletnie zaskoczona, kiedy Cameron nagle ją objął. Próbowwała z nim porozmawiać poważnie. Była wytrącona z równowagi i wściekła, że sprawa jej zwichniętej fizjologii wyszła na światło dzienne. Nie chciała, żeby Cam się dowiedział. Było dobrze, jak było. Myślał o niej jako o prawdziwej, seksownej kobiecie - wiedziała o tym. Nie chciała, żeby zaczął na nią patrzeć inaczej, a obawiała się, że tak się stanie, jeśli pozna prawdę.

Tymczasem nagle jego ramiona zamknęły ją w ciasnym uścisku, a usta przywarły do jej ust. Po chwili pocałunki stały się delikatniejsze, zachęcające, kuszące. A potem znowu górę wzięła namiętność, paląca potrzeba. Wplótł dłonie w jej włosy. Poczowała, jak jego smukłe, twarde ciało napiera na nią, i nagle zaczęła drżeć.

Chciał się z nią kochać. Podpowiedział jej to instynkt w nagłej chwili jasności, fali pożądania i podniecenia. Tu i teraz, w głębokim, mrocznym cieniu klonu. W pobliżu nie było nikogo i robiło się coraz ciemniej, ale sąsiedzi i znajomi kręcili się tu o każdej porze.

Wydawało się, że zupełnie go to nie obchodzi. I jej też nie obchodziło.

Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego. Jako młoda dziewczyna marzyła o księciu, który ją odnajdzie i odda jej swoje serce, będzie dla niej zabijał smoki. Potem dorosła. Przestała myśleć o bajkach i zatęskniła do zwykłego mężczyzny z krwi i kości, nie żadnego księcia. Lecz Cameron... och, Cameron...

Zdejmował z niej ubranie, rozpiął guziki i zatrzaski. Zrzucił buty, uniósł ją bosą w powietrze. Wydawało się, jakby nie mógł żyć, nie czując jej oddechu, dotyku jej ciała.

Wpatrywał się w nią w skupieniu. Lecz jego usta wciąż odnajdywały ją na nowo, gdy kładł ją na prowizorycznym pościeli z ubrań. Obok przejechał samochód.

Pogańskie pocałunki następowały jeden po drugim, każdy gwałtowniejszy i bardziej szalony od poprzedniego. Trawa łaskotała, jej włosy - przeklęte włosy - spletały się, lecz to wszystko nie miało znaczenia. Liczył się tylko Cam. I to, co się działo między nimi.

Gdy nagle uniósł głowę, chciała mu coś powiedzieć, lecz jego spojrzenie zamknęło jej usta. Serce zaczęło jej nagle walić w piersi.

- Kocham cię - powiedział szorstko. - Kocham, Vi. Słyszysz?

Znowu próbowała odpowiedzieć, ale był zbyt szybki. W jednej chwili pieścił jej usta, w następnej obrócił się - nagi i opalony - i całował jej stopę. Zaczął od wielkiego palca u nogi i stopniowo posuwał się w górę, przesunął wargami po podbiciu, potem łydce, wewnętrznej części uda. Kiedy doszedł do karku, obrócił ją twarzą do siebie i znowu zaczął całować w usta. Mocno objęła go udami. Nagle zbudziło się pożądanie. Zapragnęła go silnie, boleśnie. Chęć spełnienia, lecz także coś więcej: pragnienie miłości.

- Razem - szepnął.

Słońce opadało szybko, jakby rozumiejąc, że chcą być sami, lecz w ciemności kryli się podglądacze: świerszcze, żaby, świetliki, koty. I księżyc.

Ich księżyc.

Zobaczyła nad sobą twarz Camerona - pełną uniesienia i uczucia - i poczuła, że traci resztki kontroli nad sobą. Miłość pulsowała w jej żyłach, przepelniała jej zmysły i serce.

- Teraz, Vi - powiedział.

Doszła razem z nim, czując, jak gdyby spadała ze szczytu nieba. Lecz nie sama. Nawet po minutach, po godzinach, nie mogła się otrząsnąć z radosnego wrażenia, że stała się całością. Pełnią. Jak gdyby była najpotężniejszą kobietą w dziejach; jaką zawsze pragnęła być.

Jego kobietą. W tej chwili nie potrafiłaby sobie wyobrazić innego uczucia.

Cameron nie mógł zasnąć.

Musiało być dobrze po drugiej nad ranem. Przenieśli się do jej sypialni, zdrzemnęli chwilę, zbudzili i kochali się raz jeszcze. Teraz czuł się całkowicie rozbudzony. Violet spała w jego ramionach, ciepła i delikatna, opleciona wokół niego - czy może to on oplatał ją? Jakże to ma znaczenie, kto się na kim udrapował, jak długo dotykał jej każdym fragmentem skóry?

Oczy przywykły mu do ciemności. Wpatrywał się w srebrny blask księżyca wpadający przez otwarte okno.

- Vi-szepnął.

- Hm?

Domyślał się, że ona nie śpi. Głos miała senny, spokojny, zadowolony - lecz przytomny.

- Chere, jesteś całkowicie pewna, że nie możesz mieć dzieci?

Leżała odprężona, wiedział więc, że teraz gotowa jest z nim rozmawiać na ten temat. Ufała mu.

- Ujmijmy to w ten sposób - zaczęła z wisielczym humorem. -  
Wszystkiego o seksie dowiedziałam się od Simpsona, co znaczy, że  
miałam w głowie niezły bigos. Sądziłam, że facet nie może czekać, bo  
okropnie cierpi. Że kobiety czasem przeżywają orgazm, a czasem nie,  
lecz Prawdziwe Kobiety za każdym razem.

- Tak jakby to była wina kobiety, że nie ma orgazmu?

- Mhm. Nie pojmuję, jak mogłam uwierzyć w podobne bzdury.  
Ale jeśli chodzi o dzieci, do pewnego stopnia miał rację. To ze mną  
było coś nie w porządku. - Przytuliła się mocniej. - Wiesz co?

- Co?

- Nie chciałam ci o tym mówić, ale... teraz to do mnie dotarło.  
Wydaje mi się oczywiste, dlaczego zajęłam się lawendą. Chciałam  
stworzyć coś, co byłoby tylko moje, co pochodziłoby ode mnie. I  
chyba dałam się trochę ponieść entuzjazmowi.

- Trochę?

Usłyszał w ciemności jej cichy śmieszek.

- Okej. Kompletnie zwariowałam na tym punkcie. Rzecz w tym,  
że nie wierzyłam, by z moich eksperymentów coś wyszło. Czemu  
miałyby się udać? Nie byłam specjalistką, raczej niedzielną  
ogrodniczką. Wyglądało na zwykły łut szczęścia, że wszystko, czego  
się dotknęłam, zaczynało się mnożyć jak szalone. Cóż za ironia losu.

- W jakim sensie?



Gładził ją po długich, rozpuszczonych włosach. Violet będzie się rano wściekać, że ich nie związała, ale on uwielbiał, gdy opadały swobodnie.

- W takim, że jedyne, czego było trzeba, to żebym je kochała i opiekowała się nimi. I rozkwitały. - Westchnęła. - Tak samo było z kotami. Trzy lata temu wzięłam do domu dzikusa, który mieszkał w stodole. Był ledwie żywy i okaleczony. Sądziłam, że nic z niego nie będzie, a on tymczasem błyskawicznie doszedł do siebie, po czym okazał się kotką i wkrótce miałam całą gromadkę małych.

Pogładziła go po szyi, instynktownie wyczuwając, w którym miejscu dotyk sprawi mu największą przyjemność.

- Moja mama twierdziła, że każdy człowiek ma szczególny dar. Trzeba się tylko wsłuchać w siebie i go rozwinąć. Ja zawsze sądziłam, że moim jest bycie matką. Opiekować się, troszczyć i wychowywać. Dlatego tak ciężko było mi się pogodzić z faktem, że nigdy nie będę miała dzieci.

Cameron zawahał się. Wcześniej nigdy się nie obawiał trudnych tematów, teraz jednak ze wszystkich sił chciał powiedzieć to, co właściwe. Niewiele wiedział o bezpłodności i nie znał żadnego sposobu, żeby złagodzić ból jej straty. A jednak musiał ją jakoś pocieszyć. Ten idiota, za którego wyszła, wmówił jej, że jest mniej kobieca z powodu problemu z płodnością.

- Chère, twoja matka miała rację. Urodziłaś się, by się troszczyć o innych. I nie chodzi tylko o dzieci, lecz o wszystko i wszystkich wokół ciebie. Nic tego nie zmieni. Chociaż...

- Chociaż co?

- Chociaż istnieje duże prawdopodobieństwo, że pewnego dnia te twoje koty opanują cały dom. - Udało mu się skłonić ją do uśmiechu. - Co prawda gdybyś zaczęła hodowlę słoni... hm, sama rozumiesz.

Teraz roześmiała się na cały głos. Podniesiony na duchu tym sukcesem, przeszedł do poważniejszych spraw.

- Bardzo się cieszę, że się z nim rozwiodłaś -mruknął i pocałował ją w czoło. - Przykro mi, że ten palant cię skrzywdził, ale gdyby nie jego głupie pomysły, kto wie, może byś nadal przy nim tkwiła. I wtedy nigdy bym cię nie poznał.

- Myślisz, że to było przeznaczenie, kiedy się spotkaliśmy? - spytała sennym głosem, wtulając policzek w jego ramię.

- Nie przeznaczenie - powiedział cicho, z całkowitą szczerością.  
- Miłość, która wyzwoliła nas oboje. To znaczy, oboje nie mamy zobowiązań wobec nikogo. Nic nas nie powstrzyma.

Violet milczała, kiedy wypowiedział słowo „miłość”. Chwilę później uświadomił sobie, że zasnęła.

Nic się nie stało, powiedział sobie. Chciał ją tylko upewnić, że kocha ją dla niej samej. Może i miał nadzieję usłyszeć od niej, że pragnęłaby, by nadal pozostał w jej życiu. Lecz chwilę wcześniej otworzyła przed nim serce. Pewnie potrzebowała czasu, żeby się z tym oswoić. Mieli czas.

Ciągle jeszcze mieli czas.

- Dziewczęta, czy możecie przez chwilę być cicho?

Obie dziewczynki spojrzały, zaskoczone jej ostrym tonem. Violet nigdy na nikogo nie krzyczała, lecz gorący sierpniowy wiatr doprowadzał ją do pasji.

Na dodatek parę dni wcześniej zatrzała się czymś i ciągle nie mogła dojść do siebie. Koty plątały się pod nogami, ona nie mogła spać, a dziewczynki godzinami trajkotały o zaczynającej się wkrótce szkole, chłopcach, strojach, chłopcach, i chłopcach raz jeszcze.

- Trzeba zrobić więcej płynu przeciw owadom. Pamiętacie przepis? Dziesięć części lawendy, dziesięć geranium, pięć części goździków...

- Tak, tak, pamiętamy.

- Okej. Jak przygotujecie dwa tuziny takich fiolek...

Nie dokończyła. Nagle zapach „Ziołowej Oazy” zakręcił jej w nosie. Zawsze dotąd go uwielbiała, teraz jednak zasłoniła dłonią usta i pobiegła do łazienki na tyłach.

Dwadzieścia minut później doszła do wniosku, że jednak nie umrze, i zabrała się do mycia zębów, patrząc na siebie w lustrze. Policzki miała zaróżowione, oczy błyszczące, włosy rozczochrane, ale niewątpliwie zdrowe i lśniące. A jednak przez ostatni tydzień co chwila płakała albo złościła się bez powodu.

Naturalnie, płacz to dla niej nic nowego. Zawsze zalewała się łzami, słysząc hymn narodowy i oglądając reklamy jedzenia dla psów. Żołądek jednak zawsze miała strusi. Ubiegłego wieczoru mieli rybę z sosem szpinakowym i słodkie ziemniaki. Nic co zjadłby normalny mężczyzna, lecz Cameron, jak to on, poprosił o dokładkę. Jeśli chodzi

o Violet, była to jej ulubiona potrawa - z pewnością nic, co mogłoby wywołać rozstrój żołądka.

Gdyby nie bezpłodność, wystraszyłaby się, że jest w ciąży.

- Hej, Violet. - Barbara zastukała w drzwi łazienki. -

Pomyślałyśmy, żebyś poszła odpocząć do domu. Damy sobie radę ze wszystkim.

- Chcecie po prostu spokojnie pogadać o chłopcach.

- No to co? Idź, połóż się albo coś.

Nie chciała iść do domu. W domu Cameron pakował swoje rzeczy. Miał wyjechać dopiero za kilka dni, lecz zbiór lawendy się skończył. Na dodatek promienny wygląd, spóźniający się okres i problemy z żołądkiem sprawiały, że słowo „ciąża” wciąż jej chodziło po głowie. Lecz problemy z jajowodami nie znikają tak sobie, więc doszła do wniosku, że to po prostu niepokój związany z wyjazdem Camerona.

- Nigdzie nie pójde - oświadczyła stanowczo. Barbara otwierała drzwi.

- Pójdziesz, Jest za gorąco. Napij się jakiejś lemoniady albo co. Violet skrzywiła się.

- Nie wymawiaj przy mnie słowa „lemoniada”. I nawet o nim nie myśl.

Zwyczajnie ją wypychały. Upał jednak był nie do zniesienia, więc powłokła się do domu. Drzwi były otwarte, telefon dzwonił, ale co z tego - dzwonił na okrągło. Otworzyła lodówkę i z westchnieniem wystawiła twarz na zimne powietrze.

- Pozwól mi też zmarnować trochę prądu.

Cameron wyszedł nagle z jadalni, boso i bez koszuli, tylko w luźnych szortach khaki. Podszedł i delikatnie, przeciągle pocałował Violet w usta.

- Mmm. Pasta do zębów. Co za afrodyzjak...

- Przykro mi to mówić, Lachlan, ale uznałbyś za afrodyzjak nawet smugę kurzu.

Już ten lekki pocałunek wystarczył, by natychmiast poczuła się lepiej i jej puls przyspieszył. Tak bardzo zmieniła się pod jego wpływem. Uleczył ją. Sprawił, że znowu poczuła się prawdziwą kobietą. A wszystko przez te długie, szalone noce i namiętne pocałunki. Przez to, że ją kochał.

I przez to, że ona kochała jego.

- Byłaś obejrzyć lawendę? Stary Filbert i jego ludzie skończyli przed godziną. Wszystko jest pięknie przycięte i związane.

Niedobrze. Violet zamknęła lodówkę - wcześniej nabrała pełny kubek lodu - i poszła położyć się na sofie w salonie. Było zbyt gorąco, żeby stać albo wysłuchiwać złych wieści.

- Dzwoniłeś do Jeunesse?

- Mhm. - Usiadł na starej otomanie naprzeciw. -Zrobiłem wszystko, co dało się zrobić na miejscu. Teraz trzeba przeprowadzić testy w dużym laboratorium.

- Wiem.

- To zajmie trochę czasu. Perfumy mają trzy nuty: głowy, serca i nutę podstawową. Lawendy używa się do wszystkich trzech. Nuta głowy jest najbardziej ulotna, za to podstawowa utrzymuje się przez wiele godzin.

Tłumaczył jej, jakby nie wiedziała tego wszystkiego. Jak gdyby uważał za potrzebne raz jeszcze jej o tym powiedzieć. I patrzył na nią niczym na cenny skarb. Wpatrywał się uważnie w jej twarz, chociaż nie powiedziała mu - i nigdy tego nie zrobi - o swojej dziwnej chorobie.

- W nucie serca najbardziej liczy się trwałość: to, czy zapach się utrzyma. A to zależy przede wszystkim od użycia właściwej odmiany lawendy. Mamy nadzieję, że twoja okaże się właściwa.

Violet nie rozumiała, czemu Cam jej to wszystko mówi. A jednak za każdym razem, gdy to robił, myślała tylko o jednym: co jest z nią nie tak. Nie potrafiła zatrzymać przy sobie żadnego mężczyzny. Nie tylko Simpson ją zostawił.

Teraz miał ją opuścić także Cameron.

Simpsona tylko kochała. Lecz Cameron miał ze sobą zabrać jej duszę i serce. Z pewnością musiała mieć w sobie jakąś skazę; przyciągała mężczyzn, którzy nie zamierzali zostać na dłużej. Od trzech lat winą za to obarczała bezpłodność, lecz Cam dowiódł, że niesłusznie, bo nie zależało mu na dzieciach.

- Vi, muszę pojechać do Francji, do laboratorium.

- Oczywiście. - A ponieważ jej głos zabrzmiał głucho, dodała z większym zdecydowaniem: - Wiedziałam o tym od początku.

- Mają tam dobrych chemików, ale ja znam twoją lawendę. Muszę nimi pokierować.

- Po co to wszystko mówisz? Wiedziałam od początku, że zostaniesz tylko parę tygodni. Oboje o tym wiedzieliśmy.

- Chcę, żebyś zrozumiała... nie zamierzam cię opuścić. Chodzi tylko o pracę.

Czekał, jakby miał nadzieję, że go o coś zapyta, że coś powie.

Violet wiedziała dokładnie, co on chce usłyszeć. Dlatego uśmiechnęła się najpromienniej jak umiała i czule dotknęła jego policzka.

- Przecież mówiłam, że nie chcę się wiązać na stałe, prawda? — oznajmiła dziarsko. - Kocham cię, Cameron. Takim, jakim jesteś. Za nic w świecie nie oddałabym ani jednej sekundy spędzonej z tobą tego lata.

Zobaczyła, jak zacisnął szczęki i jego oczy przygasły, lecz nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać.

- Możemy się nadal widywać - powiedział.

- Mam nadzieję. Ale nie chcę, żebyś się tym zadręczał.

Nie będzie próbowała go do siebie przywiązać. Taki już był - wolny wędrowiec, kochanek i uzdrowiciel kobiet. Próbował małżeństwa i czuł się w nim głęboko nieszczęśliwy. A jeśli istniało coś, czego Violet chciała od tego mężczyzny, który stał się jej całym światem, to by pozwolił się kochać. Nie mogła go prosić o nic, czego jej sam nie ofiarował.

- O której wyjeżdżasz? - zapytała. Przełknął ślinę, jakby coś tkwiło mu w gardle.

- Jutro o świcie. Dłużej nie mogę czekać.

Cóż, pomyślała Violet. Więc już znam godzinę, o której pęknie mi serce.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cameron patrzył, jak dżip jego córki odjeżdża w strugach deszczu. Wrzesień okazał się deszczowy: lało od pięciu dni. Żwirowy podjazd przemienił się w wielką kałużę. Mężczyzna raz jeszcze pomachał Mirandzie i Kate na pożegnanie.

Dziewczęta były zachwycone, kiedy rzucił pracę w Jeunesse i przeniósł się na dobre do Stanów. Obie chciały z nim zamieszkać - co miało nastąpić, gdy zgodzi się ich matka. Na razie odwiedzały go w każdej wolnej chwili.

Gdy wóz zniknął za zakrętem, Cameron wsunął ręce do kieszeni i ruszył w stronę domu. Okoliczne lasy zaczynały zmieniać kolor; pojawiało się coraz więcej żółci, szkarłatu i brązu. Potok wyznaczający granicę jego posiadłości lśnił w słońcu. Cameron zaczerpnął głęboko powietrza. Chciał się tu poczuć u siebie.

Lecz nie potrafił.

Naprawdę tego pragnął, odkąd kupił to miejsce. Przyjechał tu, kiedy tylko skończył testy dla Violet i miał pewność, że wszystko potoczy się dalej szczęśliwie. Nie zamierzał dalej pracować dla Jeunesse. Lubił swoje zajęcie, lecz teraz chciał się zająć w życiu czymś zupełnie innym.

Wierzył - być może naiwnie - że uda mu się odnaleźć wrażenie, jakie miał, mieszkając u Violet: poczucie przynależności. Zateśknił do tego, by mieć czerwoną stodołę i kamienne murki, by żyć wśród zwariowanych sąsiadów. By znaleźć miejsce na tyle własne, w którym



mógłby się kochać w blasku księżyca z kobietą, do której należy jego serce.

Wszedł na ganek i pchnął drzwi wejściowe, rozmyślając ponuro, że pragnie kobiety, która płakałaby z byle powodu, która przyrządzałaby dziwaczne potrawy, hodowała stado kotów i nosiła wiktoriańskie koronki, a do tego pomarańczowe bokserki.

W domu przywitała go cisza.

Zabawne, lecz wracał do kraju z głową pełną idiotycznych rojeń. Oczywiście nie oczekiwał, że Violet będzie chciała rozmawiać o tak szalonych, nienormalnych rzeczach jak małżeństwo. Ale sądził, że łatwiej będzie się z nią spotykać, rozmawiać, spędzać razem czas. Planował napastować ją nieustępliwie staroświeckimi zalotami.

Nie przyszło mu do głowy, że nie będzie odpowiadać na jego listy i telefony.

Nalał sobie kawy z dzbanka. Od rana napar stał się gęsty jak smoła, lecz Cameron nie dbał o to.

Dziewczęta zostawiły na stole plik kolorowych magazynów dla nastolatków, lecz poza tym wokół panował idealny porządek.

Trudno się było pogodzić z tym, jak błędnie interpretował własne pragnienia. Wydawało mu się, że nareszcie gotowy jest osiąść na stałe, że uporał się z dziedzictwem swego ojca: strachem, by nie stać się niewolnikiem tego, co się posiada. Odkrył tymczasem, że jego niechęć do posiadania domu nie miała z tym nic wspólnego.

Przez te wszystkie lata szukał po prostu kobiety, do której chciałby należeć.

Znalazł ją teraz. Znalazł to wszystko. I nie umiał się pogodzić z faktem, że po tym, gdy osiągnął tak wiele, tyle wycierpiał, odnalazł siebie - i odnalazł ją - będzie ją musiał utracić.

Zadzwoił telefon - nagły dźwięk sprawił, że Cameron wzdrygnął się, rozlewając kawę. Sięgnął po słuchawkę.

- Cameron Lachlan?

Gdy tylko usłyszał gniewny kobiecy głos, natychmiast rozpoznał Daisy Campbell, siostrę Violet. Zawsze ją lubił. Zapierająca dech, egzotyczna piękność, gwałtowna i niezależna, pani samej siebie. Zawsze dobrze się z nią dogadywał, więc jej wściekły ton dobiegający zza oceanu całkowicie go zaskoczył.

- Lachlan, ostrzegałam, że cię zabiję, jeśli złamiesz serce mojej siostrze!

- Co takiego?

- Mówiłam, że jest wrażliwa. Mówiłam, że masz być dla niej dobry albo zostawić ją w spokoju. Uważałam cię za porządnego faceta!

- Przysięgam, że...

- Więc słuchaj, właśnie wyjeżdżam z Prowansji i wracam na stałe do kraju. A jak tylko tam dotrę, dopadnę cię i zabiję. Nie wiem jak, bo nigdy jeszcze nikogo nie zabiłam. Ale tam, gdzie się wychowałam, faceci nie robili kobiecie dziecka tylko po to, żeby następnego dnia zniknąć.

- Co takiego? - Cameron podnosił właśnie kubek do ust. Nie doniósł. Gęsta, gorąca kawa rozprysnęła się wokół, ceramiczny kubek pękł na tysiąc kawałków. - Co powiedziałaś?

- Zamknij się, Lachlan! Nie obchodzi mnie, czy ci o tym powiedziała, czy nie. Jeśli się nie zabezpieczyłeś, wiedziałeś, co ryzykujesz. Wiesz, do cholery, skąd się biorą dzieci!

- Ale twoja siostra...

Nie mógł złapać tchu, nie mógł jasno myśleć.

- Co moja siostra?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz nagle uświadomił sobie, że Violet nie powiedziała siostronom o swojej bezpłodności, o tym, jak ją traktował były mąż, o niczym. Kochała je, opowiadała o nich cały czas. Więc tamto musiało być dla niej zbyt trudne, by mogła o tym rozmawiać nawet z nimi.

Lecz jemu powiedziała.

Był dla niej na tyle ważny, że jemu powiedziała. Uświadomił to sobie, lecz nadal nie mógł się skoncentrować. Daisy nadawała w dalszym ciągu. Ślicznotka czy nie, potrafiła wrzeszczeć jak sierżant.

- Nawet nie próbuj ze mną tych głupich gier, Lachlan.

Słyszałam wszystkie wykręty, do jakich są zdolni nieodpowiedzialni faceci. Uprzedzałam, że moja siostra jest bardzo wrażliwa. Prosiłam, żebyś był wobec niej uczciwy, miły, w porządku. Jeśli wylądowaliście w łóżku... nie ma sprawy, podejrzewałam, że się polubicie. Romans był Vi potrzebny. Ale zrobić jej dziecko, ty łajdaku, ty draniu, ty palancie, ty nieczuły, odrażający, nieodpowiedzialny... Cameron, czemu się nie odzywasz, do cholery?

- Daisy, zrób dla mnie jedną rzecz: nie mów swojej siostrze, że do mnie dzwoniłaś.

Pierwszy raz od początku rozmowy Daisy przestała ciskać gromy. Zaskoczenie uciszyło ją - lecz nie na długo:

- Zrobić coś dla ciebie? Dla ciebie? Przed tym, jak cię zamorduję, czy potem?

Wcale nie chciał odkładać słuchawki w trakcie rozmowy. Po prostu zapomniał, że Daisy znajduje się po drugiej stronie. Violet jest z nim w ciąży? Myśli w jego głowie wirowały z coraz większą szybkością.

Znajduje się na północy stanu Nowy Jork, nie w Vermoncie. Ma lodówkę pełną jedzenia, włączony imbryk z kawą, pralkę pełną brudnych rzeczy, niezapłacone rachunki, za dwa dni jest umówiony na wizytę do dentysty. Nie może tak po prostu wyjechać.

Piętnaście minut później zapalał silnik wozu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze - żadnych postojów na kawę, żadnych robót drogowych - dotrze na miejsce w cztery godziny.

Oczywiście napotkał roboty drogowe i pomniejszą stłuczkę. Raz zatrzymał się na szybką kawę. Nawet teraz, w początkach jesieni, wczesnie robiło się ciemno. Nim dotarł do granicy Vermontu, zapadł zmrok. Wkrótce widział przed sobą tylko czarną wstęgę szosy.

Pamiętał łagodne pagórki, kamienne murki, biały kościół w White Hills. Czerwone stodoły i kręte drogi. Każdy znajomy widok powiększał jego podniecenie i niepokój.

Wjechał na podwórze około dziewiątej. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że serce wali mu jak młotem, a hamburger pochłonięty po drodze nadal tkwi mu w żołądku niczym lepka kula. Przez okna domu padało żółte światło. Na ganku stał strach na wróble

zrobiony z łodyg kukurydzy, a obok niego dwa koty i dwie olbrzymie dynie.

Jednym skokiem znalazł się na ganku, w mgnieniu oka wygładził ubranie, wyprostował się. Cholera, włosy ma rozczochrane i powinien się ogolić, przypomniał sobie nagle. Ale skoro dotarł tak daleko... zresztą Violet widywała go w gorszym stanie. Więc zapukał. Cisza.

Zapukał znowu, tym razem głośniejsze.

Nadal nikt nie odpowiadał, otworzył więc drzwi i wsunął głowę do środka. Natychmiast otoczyły go zapachy pieczonych jabłek, cynamonu i goździków. W miedzianym wiadrze stały wysokie trawy i trzciny. Z belek zwieszały się pęczki lawendy. Dwa koty spostrzegły go, poznały i zbliżyły się po należną porcję pieszczot.

Violet nadal nigdzie nie było widać, a tylko słyhać. Jej śpiew dobiegał z góry - o ile podobne odgłosy można nazwać śpiewem. Daisy potrafi się wydzierać jak przekupka, pomyślał Cameron z czułością, za to „śpiew” Violet przypomina zgrzyt stali przeciąganej po szkle.

- Violet? - Musiał ją uprzedzić, że to on, nie chciał jej wystraszyć. - Vi?

Zawodzenie ucichło. Niepewny głos spytał:

- Cameron? - Po czym dodał natychmiast: -Nie odpowiadaj. Jasne, że nie możesz być Cameronem.

Och, Boże. Poczul się, jakby wrócił do domu. Tylko jego zwariowana Violet była zdolna do podobnych irracjonalnych komentarzy. Być może stracił rozum, być może ryzykował swoje

życie i serce, ale wbiegł na górę po trzy stopnie i pędem przebiegł korytarz. Nie odgadłby, skąd dobiega głos, gdyby nie kłęby pary unoszące się z łazienki.

Obiema rękami chwycił się futryny, czekając, aż mu wróci oddech. Prawie natychmiast jednak uświadomił sobie, że to mało prawdopodobne, bo serce zupełnie przestało mu bić.

Violet brała kąpiel. Nie śpiewała już bluesa, zanurzyła się w wodzie po piersi, długie włosy upięła wysoko, by nie przeszkadzały.. Na krawędzi wanny pełniły straż dwa koty. Woda była przezroczysta, bez piany, i Cameron widział wyraźnie pod powierzchnią jej bladą skórę, długie smukłe nogi, krągłe biodra i piersi. I zaokrąglony brzuch.

Na ten widok serce Camerona zatrzymało się znowu.

- Cześć - przywitała go Violet, jakby regularnie przyjmowała nieznajomych mężczyzn w wannie.

Teraz jednak znał ją dobrze. Udawała nieprzewidywalną, roztrzepaną, nieprzytomną, żeby się bronić przed mężczyznami, którzy chcieliby się zanadto do niej zbliżyć. Cameron nie dał się już, na to nabrać. Słyszał niepewność w jej głosie, widział całą gamę emocji w oczach: ból, tęsknotę. Miłość.

Jak mógł jej wcześniej nie spostrzec?

- Pięknie pachnie - zauważył.

- Jasne. To moja prywatna receptura na kąpiel podnoszącą na duchu w każdej sytuacji. Trochę lawendy, trochę majeranku, trochę mięty i inne tajemne składniki, których nie zdradzę nikomu.

Spojrzała na niego jasnymi, bezbronnymi oczami i westchnęła głęboko.

- Oprócz ciebie, Cam. Tobie powiem. Dodaję odrobinę konwalii i jaśminu. To cały sekret.

- Aha - odparł. - Zdjął prawy but, potem lewy. Czarny sweter sfrunął z niego w cudowny sposób. Musiał to być cud, bo Cameron palce miał sztywne jak z drewna. - Podoba mi się twój brzusek.

Violet popatrzyła w dół.

- Przesadziłam z koktajlami mlecznymi.

- Nie sądzę, żeby to była przyczyna.

- Nie? - Wciągnęła powietrze, gdy zdjął czarne sztruksy i bokserki. - Hm, Cameron. Będziesz pachniał konwaliami, jeśli tu wejdiesz.

- Przejmowałem się takimi rzeczami, jak byłem smarkaczem. Teraz jestem dorosłym facetem, który zawsze robi to, co powinien.

Koty odskoczyły na boki, gdy fala wody przelała się na podłogę. Violet nie zwróciła na to uwagi. Patrzyła tylko na niego, podciągnęła kolana pod brodę.

- Nie znalazłeś łazienki bliżej domu?

- W tym problem, chère. Dopiero teraz do mnie dotarło, że mój dom jest tutaj.

Na moment zapadło milczenie. Usiadł naprzeciw niej, kolano w kolano, i wyciągnął do niej rękę. Splotła palce z jego palcami.

- Myślałam, że nie potrzebujesz domu.

- Nie pamiętam, czy ci opowiadałem o moim ojcu. Kochałem go. Nie był zły, nic z tych rzeczy. Ale całe swoje życie zbudował wokół rzeczy, które posiadał. Nigdy nie miał dla nas czasu.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Chciałem tylko, żebyś zrozumiała, czemu zostałem włóczęgą. Nie chciałem, żeby spotkało mnie to samo. Chciałem, żeby ważni byli dla mnie ludzie, a nie rzeczy. I chciałem kochać ludzi, a nie rzeczy. - Zaczął ją gładzić po stopach i łydkach, bo były najbliżej. - A potem poznałem ciebie. I straciłem cię. I zrozumiałem, że popełniam dokładnie taki sam błąd jak mój ojciec. Stwarzam barierę między sobą i tymi, których kocham. Których potrzebuję.

Przesunął dłońmi po jej zgrabnych, smukłych udach. Zadzwoił telefon. Zdawało się to miarą tego, jak dobrze się znali, bo żadne nie zrobiło najmniejszego ruchu, by odebrać. W tym domu telefon dzwonił zawsze. Nie pali się.

- Zwolniłem się z Jeunesse. Wróciłem do Nowego Jorku, spotkałem się z dziewczynkami. Ale cały czas myślałem o tym, że chciałbym żyć zupełnie inaczej. Mam pieniądze; kupię pole i zasadzę całych pięćset akrów lawendy. To będzie wyzwanie, przygoda. Ciężka praca, ale i dużo czasu zimą, żeby wędrować swobodnie. Żeby robić to, na co nam przyjdzie ochota. Oczywiście trzeba będzie znaleźć kogoś do opieki nad kotami.

- Więc... wróciłeś ze względu na ziemię, tak?

- Nie.



Zobaczył, jak z jej oczu znika niepokój. Nie cofnęła się przed nim, ale też nie przytuliła do niego.

- Zawsze tak stanowczo powtarzałeś, że nie chcesz się osiedlić.

- Nie chcę się osiedlić. Chcę zamieszkać z tobą i być twoim kochankiem. Na zawsze. Nie chcę ustalać niczego raz na zawsze. Chcę żyć tak, jak to będzie odpowiadało nam obojgu - a może trojgu albo czworgu, gdyby z jakichś powodów rodzina się powiększyła.

Violet znowu umilkła, zdawało się, że przestała nawet oddychać.

- Daisy dzwoniła do ciebie, prawda?

Nie odpowiedział wprost, bo nie chodziło o to, co powiedziała jej siostra. Chodziło o nich oboje. Żeby się upewnić, że Violet wysłucha go uważnie, ujął jej mokre, śliskie dłonie.

- Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł wychodzić za faceta, który ma prawie dorosłe dzieci... przynajmniej dopóki ich nie poznałaś. Jestem święcie przekonany, że od razu się polubicie, ale to są nastolatki, co oznacza, że przez całe noce knują, jak by utrudnić życie dorosłym. Co do mnie, to zawsze lubiłem dzieci. Grzeczne, niegrzeczne, trudne, to bez znaczenia. I chętnie miałbym ich więcej.

- Lachlan, wcześniej mówiłeś zupełnie co innego.

- Wiem. Nie kłamałem wtedy. Próbowałem cię przekonać, że kocham cię dla ciebie samej. Że ty jesteś dla mnie najważniejsza, z dziećmi czy bez. Że kocham przede wszystkim ciebie.

Łzy zaszklily się w jej oczach, więc zaczął mówić szybciej:

- Violet, jesteś pewnie z dziesięć razy bardziej kobieca od innych kobiet, ale jakoś dam sobie radę. I chcę, byś wiedziała, że kocham cię niezależnie od wszystkich dzieci świata. Jeśli chcesz, możemy kilkoro

zaadoptować albo spróbować cię leczyć, albo po prostu wziąć jeszcze parę kotów. Cokolwiek. Chcę jedynie, żebyśmy poszukali rozwiązania, które będzie odpowiadało nam obojgu.

Violet z drzeniem wciągnęła powietrze.

- Istnieje możliwość, że mój brzusek to nie efekt łakomstwa.

- Sądziłem, że niedrożne jajowody to poważny problem.

- Ja też. Każdy lekarz mi powtarzał, że w moim stanie szanse na poczęcie są minimalne. - Poglądziła go po dłoni, patrząc mu w oczy. - Twoje plemniki muszą być strasznie uparte, Lachlan.

- Wolę myśleć, że są sprytne i potrafią zdobyć to, czego chcą.

Chciał ją wziąć w ramiona - teraz, natychmiast. Mieli całe życie na dokończenie tej rozmowy, a staroświecka wanna była duża, lecz niewystarczająco duża jak na to, co zaplanował na tę noc. Musiał tylko powiedzieć jeszcze jedno:

- Powinnaś była mi powiedzieć, że jesteś w ciąży, chere.

- Chciałam i zrobiłabym to. Musiałam tylko wymyślić jak. Nie chciałam, żebyś się czuł złapany w pułapkę. Kocham cię i chcę, żebyś był najszczęśliwszy ze wszystkich ludzi na świecie. Chcę, żebyś miał w życiu wszystko, czego pragniesz.

Przyciągnął ją do siebie. Ciepła woda chlusnęła na podłogę, lecz nareszcie dotykała go całym ciałem: pierś przy piersi, brzuch przy brzuchu, serce przy sercu.

- To proste, bo chcę tylko ciebie. Do końca życia.

- Ja też cię kocham. Do końca życia - szepnęła i pocałowała go z zamkniętymi oczyma, nie zważając na to, że mogą się utopić. Kiedy

przerwali pocałunek, by zaczerpnąć powietrza, jej oczy były suche, za to w jego oczach błyszczały łzy.

To by dopiero było, gdyby pod jej wpływem stał się uczuciowym facetem. Chemicy to rzekomo chłodne, racjonalne typy, lecz Cameronowi nie wiadomo czemu zdawało się, że w jego wypadku może się to zmienić.

Zawsze się pilnował, by nie dać sobą zawładnąć niczemu. A jednak Violet zawładnęła jego sercem -i było to najlepsze, co go spotkało w życiu. A był to zaledwie początek.

Mieli całe życie, by odkryć, co to znaczy: być razem.